



Jan Maślak

Ponad Sybir – Życie

„Człowieczy los nie jest bajką ani snem.
Człowieczy los jest zwyczajnym, szarym dniem.
Człowieczy los niesie z sobą żal i łzy.
Pomimo to można los zmienić w dobry lub zły.

Uśmiechaj się,
do każdej chwili uśmiechaj,
na dzień szczęśliwy nie czekaj,
bo kresu nadejdzie czas,
nim uśmiechniesz się chociaż raz”

*Alina Nowak
piosenka Anny German*

Nazywam się Jan Maślak, urodziłem się 20 września 1930 roku. w osadzie Grzywa, leżącej w powiecie Kamień Koszyrski na Polesiu Wołyńskim. Dziś teren ten należy do Ukrainy, zaś w czasach mojego dzieciństwa były to Kresy Drugiej Rzeczypospolitej. Pochodzę z rodziny na wskroś polskiej, moi przodkowie zarówno ze strony mamy, jak i taty, byli żarliwymi patriotami oddanymi Polsce, służyli jej rzetelną i uczciwą pracą w czasach pokoju oraz czynną walką w czasie wojny. Ponieważ o losie moim zadecydowały działania przodków, więc od krótkiego przedstawienia protoplastów muszę zacząć swoje wspomnienia.

Moi przodkowie

Pradziadek ze strony mamy, Onufry Kozakiewicz, pochodził z Mazowsza. Jest to kraina położona w sercu Polski, w której leży stolica naszego państwa – Warszawa. W 1863 roku, gdy Polska była m.in. pod zaborem Imperium Rosyjskiego, Onufry Kozakiewicz brał udział w Powstaniu Styczniowym, skutkiem czego musiał ukrywać się przed represjami ze strony Rosji carskiej, siepaczami gubernatora Michaiła Murawiowa „Wieszatiela”. Swoją powstańczą przeszłość Onufry do końca życia utrzymywał w tajemnicy, bronił się w ten sposób przed więzieniem, zesłaniem na Syberię lub szubienicą. Schronienie znalazł w lasach, należących do polskich szlachciców na Polesiu, gdzie dzięki swemu charakterowi,

uczciwości i rzetelnej pracy założył wraz z przyjaciółmi osadę Majdan, która była ostoją polskości, a z czasem stała się kolebką naszej rodziny.

Syn Onufrego, a mój dziadek, Piotr Kozakiewicz, przyszedł na świat w 1874 roku w tym właśnie Majdanie. Pracował wiele lat, jako leśniczy, bardzo dbał o podległe mu obszary leśne. Działal też w sferze szeroko pojętej medycyny: znał się na ziołach, opatrywał rany u ludzi i zwierząt, wiedział jak ulżyć w cierpieniu, pomagał wszystkim dookoła. Ożenił się z panną Józefą z domu Paszkowską, urodzoną w 1882 roku, Polką, której ojciec także w przeszłości był powstańcem styczniowym. Zamieszkali w gajówce o nazwie Chucnia. Niebawem u Kozakiewiczów pojawiły się dzieci: Weronika (1903), moja przyszła mama, Stanisława (1905), Waclaw (1907), Leon (1913), Leokadia (1914), Jan (1915), Józef (1920).

Życie płynęło dobrym torem, w zgodzie i dostatku. W roku 1930 Piotr kupił również posiadłość w polskiej osadzie Czerwiszcze, położonej niedaleko Chucni. Praca w tym gospodarstwie także przynosiła ogromne zyski. Józefa i Piotr Kozakiewiczowie byli bardzo lubiani i szanowani przez ludzi, wśród których żyli. Czas mijał, najstarsza córka Weronika wyszła za mąż za legionistę, Andrzeja Maślaka. Andrzej pochodził z centralnej Polski, zgłosił się na ochotnika do Legionów i w 1920 roku pod rozkazami marszałka Józefa Piłsudskiego brał udział w zdobyciu niepodległości Polski. Piłsudski uhonorował swoich żołnierzy w ten sposób, że każdemu nadał prawo osiedlenia się na wschodnich terenach Polski, które nazywamy Kresami Rzeczypospolitej.

Nasze życie na Kresach

Weronika i Andrzej, moi rodzice, poznali się, zawarli związek małżeński i zamieszkali w osadzie o nazwie Grzywa, leżącej w pobliżu skrzyżowań dróg wiodących do Kowla, Pińska i Łucka. Wkrótce urodziły im się dzieci: Jadwiga (1924), Piotr (1926), Czesław (1928) oraz ja, Jan (1930), najmłodszy z rodzeństwa. Dzieciństwo moje było bardzo szczęśliwe, rodzinie niczego nie brakowało. Ojciec stopniowo pomnażał swój dobytek, pobudował nowy, duży dom. Rozwijała się hodowla bydła, trzody, drobiu. Do 9-tego roku życia dorastałem wśród zgodnych rodziców i grona rodziny ze strony mamy. Szczególnie kochałem moich dziadków Józefę i Piotra Kozakiewiczów. To, że mieszkali oni w leśniczówce położonej w pewnej odległości od mojego rodzinnego domu, nie było dla mnie żadną przeszkodą. Nieraz z rodzeństwem jeździliśmy do dziadków małym wozem, zaprzęgniętym w naszego konia. Gdy rodzeństwo nie mogło jechać, jechałem sam. Ojciec wtedy dawał mi swój rower, a ponieważ rower ten był jeszcze dla mnie za duży, więc jechałem pod ramą. To były takie wspaniałe miejsca i czasy, że rodzice bez obaw pozwalali dzieciom na samotne wyprawy i chociaż droga na pewnych odcinkach wiodła przez las, nigdy nie przydarzyło mi się nic złego.

Dziadek Piotr zawsze czynnie uczestniczył w spotkaniach Polaków – osadników, należał do Związku Strzeleckiego, kultywował nurt niepodległej Polski.

W 1935 roku, po śmierci marszałka Piłsudskiego, w pięknym, drewnianym kościele w Czerwiszczach odbyła się uroczysta msza za duszę Komendanta. Przed ołtarzem postawiono dużą fotografię Piłsudskiego przybraną biało-czerwonymi szarfami, uszytymi przez żony polskich osadników, a legionieści, członkowie Związku Strzeleckiego i pozostali Polacy trzymali wartę honorową. Ze szkoły przyszli nauczyciele i wszyscy uczniowie, zarówno polscy jak i ukraińscy. Mszę żałobną odprawił ksiądz Waclaw Chojecki (zamordowany później, w okrutnych latach 40-tych przez bandy ukraińskie). Należy dodać, że w tym samym czasie zięć Piotra a mój ojciec, legionista Andrzej Maślak, razem z kilkoma innymi osadnikami pojechał na pogrzeb swojego Komendanta do Krakowa. Każdy z nich wziął ze sobą płócienny biały woreczek z ziemią z Kresów, wywalczoną u boku Marszałka. Ta ziemia stała się podwaliną Kopca Piłsudskiego

Nasza liczna rodzina zawsze wykazywała się patriotyzmem względem ojczyzny. Strykowie moi wszyscy służyli w Wojsku Polskim, jako ułani. Wyglądali wspaniale w swoich doskonale uszytych mundurach. Nigdy nie zapomnę dnia, gdy przyjechał do nas w odwiedziny z wojska jeden z braci mamy, Jan. Przy jego boku błyszczała przepiękna, długa szabla ułańska. Nie mogłem oderwać od niej wzroku.

Byliśmy Polakami zamieszkującymi Kresy. Naszymi sąsiadami byli Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie i Żydzi. Mimo pomieszania tak wielu różnych nacji, ludzie żyli w zgodzie, szanowali odrębność religijną, obyczaję, pomagali sobie nawzajem. Nigdy nie słyszałem, by w naszej osadzie lub w pobliskich wsiach wybuchły jakieś nieporozumienia na tle narodowym.

Wybuch wojny

Moje szczęśliwe dzieciństwo skończyło się wraz z napaścią Niemiec na Polskę 1 września 1939 roku oraz atakiem Rosji na Polskę w dniu 17 września 1939 roku, czyli tym, co my, Polacy, nazywamy „ciosem

w plecy”. NKWD natychmiast zaarrestowała mojego tatę, jako byłego wojskowego, osadnika, działacza niepodległościowego, żołnierza Józefa Piłsudskiego.

Nigdy więcej ojca nie zobaczyłem. Dopiero po upływie 50 lat otrzymałem oficjalne pismo informujące, że nazwisko mojego ojca Andrzeja Maślaka znajduje się wśród 3435 Polaków umieszczonych na tzw. Ukrainńskiej Liście Katyńskiej. Zamordowano go w kwietniu 1940 roku strzałem w tył głowy, a jego symboliczny grób znajduje się na otwartym jesienią 2012 roku Polskim Cmentarzu Wojennym w Kijowie-Bykowni.

Deportacja

Gdy nastał mroźny ranek 10 lutego 1940 roku do drzwi naszego domu, jak i do domów tysięcy Polaków na Kresach, z głośnym okrzykiem: „Otkroj!”, zastukali umundurowani ludzie, wśród których był jeden enkawudzista, jeden strielok – żołnierz z bagnetem na karabinie oraz dwóch Ukraińców. Przeprowadzili rewizję w mieszkaniu w poszukiwaniu broni, a następnie usłyszeliśmy straszne słowa: „Pieriesieljajem was w drugoje miejsce”. Dano nam pół godziny na spakowanie się. Pozwolono wziąć tylko podręczne rzeczy i odzież. Zrozpaczona mama płacząc pakowała w pośpiechu tobołki. My, wystraszone dzieci, rzuciliśmy się do pomocy, ale ile można było zabrać? Były to bardzo dramatyczne chwile. Nie pożegnawszy się z nikim wsiedliśmy do podstawionych sań, które natychmiast ruszyły na stację kolejową do odległego o 12 km miasteczka Pniewno. Opuściliśmy nasz dom na zawsze. Nie mieliśmy świadomości, że tego samego dnia z leśniczówki wysiedlono też moich dziadków oraz ich synów, moich stryjków Leona i Józefa.

Piotr i Józefa Kozakiewiczowie również nie wiedzieli, że jadą na zesłanie tym samym pociągiem, co córka Weronika. A na pewno zastanawiali się, jaki teraz los spotka na Kresach ich dorosłe dzieci? Dziś wiemy, że druga córka, Stanisława, mieszkająca z rodziną w osadzie Stare Czerwiszcze, także była na liście do zesłania. Jednak jej mąż, osadnik wojskowy, Franciszek Kluzek, który długie lata zbierał złote ruble na wyjazd do Ameryki, udaremniony przez wybuch wojny, zachował 10 lutego 1940 roku zimną krew. Gdy odczytano pismo o zesłaniu, Franciszek złapał „mieszok” z rublami i pobiegł na posterunek policji. Ponieważ do tej pory żył w zgodzie z policjantami ukraińskimi i miał wśród mundurowych wiele znajomości, które w obliczu grozy „poparł” woreczkiem pieniędzy, załatwiono jemu i jego rodzinie „otrust” (zwolnienie) i skreślono z listy zesłańców. Druga córka, Leokadia, już wcześniej przebywająca w lasach wśród partyzantów polskich, po zesłaniu rodziców brała czynny udział w pacyfikacji band ukraińskich. Partyzantem walczącym najpierw z Niemcami, a potem z bandami UPA był również syn Waław. Natomiast syn Jan uczestniczył w kampanii wrześniowej. W jednej z bitew został ranny. Był to czas, gdy Niemcy przestrzegali jeszcze Konwencji Genewskiej. Zbierając z pola boju swój rannych, zabrali także Polaków, nie zostawili ich na pastwę losu, to znaczy na pewną śmierć. Ci polscy żołnierze, jako jeńcy, po podleczeniu zostali wywiezieni do pracy przymusowej w głąb Niemiec.

Tymczasem w lutym 1940 roku na stacji w Pniewnie naszym oczom ukazał się ogromny pociąg, wydawał mi się kolosem. Był straszny, czarny, zasmolony smarem, huczał i buchał kłębami pary. Małe dzieci bardzo się go bały. Na przedzie lokomotywy, która miała ciągnąć bardzo długi skład, przymocowana była wielka czerwona gwiazda. Załadowano nas do towarowego wagonu. Rozłożyliśmy się wśród około 50 nieszczęśników takich jak my. Konwojujący nas żołnierze zaczęli z zewnątrz zamykać drzwi na kłamy, a ja do dziś słyszę ten przerażający szcęk zatraskiwania żelaznych zasuw. Gdy pociąg ruszył, ludzie ogarnęła straszna rozpacz, wszyscy płakali, krzyczeli, głośno się modlili. Właściwie to zbiorowa modlitwa towarzyszyła zesłańcom przez cały czas.

Jechaliśmy w nieznaną, jak się potem okazało, do dalekiego Archangielska, miasta portowego położonego nad Morzem Białym. Wieziono nas bardzo długo. Często pociąg miał postoje w szczerym polu lub na bardzo małych stacyjkach. W tym czasie transporty kolejowe często grzęzły w zaspach śnieżnych podczas silnych opadów śniegu i zadynek śnieżnych. W czasie transportu nie udzielano żadnej pomocy medycznej ludziom chorym, a z każdym dniem kondycja nasza była coraz gorsza. Jechaliśmy stłoczeni, głodni, spragnieni, nieumyci, bez dostępu do wody, a przecież w wagonie byli ludzie starsi i maleńkie dzieci. Na szczęście w naszym wagonie nikt nie zmarł, ale słyszałem jak opowiadano sobie ze zgrozą, że z innych wagonów wynoszono zmarłych na stacjach i ich ciała układano wprost na śniegu wzdłuż torów. Pociąg zatrzymywał się, co kilkaset kilometrów, raz na kilka dni nie po to, by ulżyć zesłanym, ale z konieczności dla lokomotywy. Trzeba było stawać na stacjach, by uzupełnić stan wody w parowozie i wlać wodę z pompy. Przy okazji pozwalano nędznie nakarmić i napić konwojowanych ludzi, ale odbywało się to w ten sposób, że przeważnie tylko dwoje ludzi mogło wyjść z każdego wagonu, by do wiader lub większych garnków pobrać to, co przygotowane było na stacji: cienką zupę, kipiatok, czy kilka bochenków chleba. Oczywiście nie muszą dodawać, że nigdy pożywienia tego nie było pod dostatkiem, więc odczuwaliśmy wieczny głód. Czasami udawało się pobrać w duże naczynia więcej wrzątku i postawić w wagonie, by podróżni mogli pić go w czasie jazdy. Niestety i tu Polaków dotykała straszna perfidia ze

strony konwojentów: lokomotywa celowo ruszała ze stacji szarpiąc i nagle zatrzymując się. Woda, którą zdołali zgromadzić nieszczęśni Polacy, wylewała się, na dodatek spadały z wyższych prycz nieliczne małe tłumoki, zaczynały płakać wystraszone tym dzieci... I nie ma tu mowy o przypadku – ten makabryczny „rytuał” powtarzał się przy każdym postoju... Wyjątkowo okrutnie potraktowano nas, gdy na postoju wydano nędzne solone ryby. Wygłodniali ludzie rzucili się do jedzenia, niestety nie pozwolono nabrać wody na drogę. Można tylko sobie wyobrazić, jakie męki przechodziliśmy. Cały czas konwojowali nas rosyjscy żołnierze. Właściwie, co to było za wojsko? „Dziadowskie”, jak mówili Polacy, odziane w szare mundury, na nogach mieli owijacze z szarego worka, uzbrojeni w karabiny z ostrymi nabojami, a na każdym karabinie dodatkowo nasadzony był bagnet. A przecież my, zesłańcy, byliśmy ludnością cywilną. W większości były wśród nas kobiety z dziećmi oraz ludzie starsi, a wszyscy przerażeni i niepewni jutra, ze grozą i trwogą każdy powtarzał: „Gdzie nas wywożą? Co z nami będzie?” Wagon o powierzchni około 20 m kwadratowych wyposażony był w prycze zbite z desek. Na środku stał mały piecyk, który nie był w stanie wszystkiego ogrzać. Potrzeby naturalne załatwialiśmy wprost do dziury wybitej w podłodze. W czasie transportu brakowało nam jedzenia, opału i wody. To, co dawali, było tylko kroplą w morzu potrzeb. Wodę zdobywano topiąc śnieg nawiewany do wagonu przez otwór ubikacyjny w podłodze wagonu lub czerpany był bezpośrednio z torowiska przez ten otwór. Łączność ze światem mieliśmy tylko przez małe okratowane okienko umieszczone pod dachem wagonu. Nazwa stacji, do której podążamy, aż do końca podróży była utrzymywana w ścisłej tajemnicy.

Potem dowiedzieliśmy się, że 10 lutego 1940 roku deportowano głównie rodziny polskich osadników wojskowych, leśników, policjantów, sędziów, prokuratorów i nauczycieli. Wywożono wszystkich tych, których sowieci obawiali się najbardziej – ludzi, którzy mogliby stworzyć podziemne organizacje wojskowe i stawiać czynny opór władzy radzieckiej.

Wreszcie, po kilku tygodniach makabrycznej jazdy i przebyciu prawie 2400 km, dowieziono nas do Archangielska, ale katorga podróży nie skończyła się. Po ponownym, dokładnym sprawdzeniu naszej tożsamości i po zarejestrowaniu jako „zaključzonnyje” (aresztanci), zostaliśmy przydzielani do poszczególnych miejscowości odosobnienia w archangielskiej „obłasti”. W Archangielsku mieliśmy przymusowy postój. Nocowaliśmy w lodowatych budynkach po byłych cerkwiach na posadzce, w szkołach, na kwaterach u Bogu ducha winnych i tak samo zastraszonych prostych Rosjan. Ludzie ci sami nic nie mieli, a jeszcze musieli nas przyjąć na kilka dni pod swój dach. Każda polska rodzina czekała na swoją kolejkę do dalszego odjazdu. Nocowaliśmy w ubraniach i butach. Gdy przyjeżdżał transport, konwojenci krzyčili, żeby szykować się po kilka rodzin, wkrótce i nas załadowano na samochody ciężarowe z odkrytymi pakami i wysłano w dalszą drogę. Samochody te psuły się, zamarzały, nie wytrzymały srogich mrozów, więc dalej jechaliśmy saniami, etapami, od kołchozu do kołchozu. Mróz sięgał wtedy 30 stopni, a w nocy nawet do minus 40 stopni. Sanie ciągnął jeden koń. Z przodu było miejsce tylko dla woźnicy, na dwóch miejscach z tyłu siedziały przeważnie kobiety z małymi dziećmi. Mężczyźni ze starszymi dziećmi musieli iść za saniami, brnąć po pas w śniegu. Postoje odbywały się w miejscu zmiany koni. Koczowaliśmy wtedy, próbując choć trochę się przespać, a przede wszystkim zdobyć cokolwiek do zjedzenia. Tamtejsza ludność, widząc nasz stan, przy milczącej zgodzie naszych konwojentów usiłowała nam pomóc, jak tylko mogła.

W czasie podróży pociągami i jazdy saniami zmarło bardzo wielu Polaków. Ciała zmarłych wyrzucano w śnieg. Zwłoki były prawdopodobnie pożerane przez wilki, wałęsające się w niedalekiej odległości od dróg transportu zesłańców. Niesamowite wrażenie sprawiała jazda zamarzniętymi rzekami. Czasem zastanawiałem się, co by się stało, gdyby lód pękł. Po drodze wioski były coraz mniej, aż wreszcie całkiem znikły.

Kto miał więcej szczęścia, trafiał do bliższych posiołków. Niestety moja rodzina musiała przebyć jeszcze wiele kilometrów i minęło znowu ponad 2 tygodnie, nim dotarliśmy do Piniegi, w której mieliśmy postój. Pamiętam, że tam jedliśmy pierwszą od długiego czasu prawdziwą zupę. Ugotowana była na mięsie z reniferów, jej smak wydawał mi się cudowny, była dobra, gorąca, pożywna, z kawałkami mięsa. Ulokowano nas w piniejskiej cerkwi na lodowatej posadzce, gdzie czekaliśmy jakiś czas, a następnie posłano nas w dalszą drogę, aż wreszcie po 50 dniach od opuszczenia naszego domu dotarliśmy do specposiołka nr 97 – Joźma, położonego wśród bagien nad małą rzeką również o nazwie Joźma, oddalonego od Archangielska w linii prostej na północny wschód o około 250 kilometrów, a od Piniegi o 35 kilometrów.

W czasie tej strasznej drogi niestety ani razu nie spotkaliśmy się z naszymi dziadkami, Józefą i Piotrem Kozakiewiczami. Jechali oni w innym wagonie, nocowali gdzie indziej, ale wiem, że razem ze stryjkami musieli jechać dalej i dalej w głąb bezkresnej tajgi, aż dotarli do specposiołka nr 92 Siennoj, leżącego na skrzyżowaniu dróg wiodących na Kuszkoopalę i Karpogory. Starsi zesłańcy nieraz mówili między sobą, że działania NKWD są z góry precyzyjnie zaplanowane, że celowo bezlitośnie transportowano w najodleglejsze miejsca rodziny z małymi dziećmi oraz ludzi w podeszłym wieku, aby jak najwięcej osób umarło już w czasie katorżniczej podróży.

Siennoje

Moi dziadkowie i stryjkowie zostali zakwaterowani w dużych, ośmiorodzinnych barakach. Przypadł im barak pierwszy, położony przy drodze prowadzącej do Szukszy. Stryjkowie, Leon i Józef, od razu zostali wysłani do pracy przy wyрубie tajgi. Początkowo dziadkowie, Józefa i Piotr, również starali się chodzić do lasu, ale w szybkim czasie przyszło kolejne nieszczęście: Piotr bardzo podupał na zdrowiu. Katorżnicza podróż, głód, wymęczenie i silny stres spowodowały, że odezwała się u niego choroba z przeszłości. Piotr w okresie swojej młodości, w czasie żniw, kiedy bardzo się spocił, wylał na siebie dla ochłody wiadro pełne zimnej wody, po czym ciężko zachorował na zapalenie płuc. Choroba w późniejszych latach odnawiała się i czyniła spustoszenie w umęczonym organizmie. Dobrze, że synowie Józef i Leon byli zdrowi i bardzo pracowici, dzięki ich wysiłkom rodzice nie cierpieli skrajnej nędzy.

Posiołki, do których trafiliśmy, podlegały pod główną komendanturę NKWD w Archangielsku. Nasz komendant w Joźmie nosił nazwisko Czekołałow, zaś komendantem w Siennoje był Skomorochow. Łagry od numeru 91 do 99 były zaliczone do Pineńskiego rejonu, i tak: 91 – Krasnyj Okuń, 92 – Sjennoj, 93 – Paczicha, 94 – Siedierga, 95 – Wierchnjaja Ura, 96 – Kokornaja, 97 – Joźma, 98 – Kołos, 99 – Trichino.

Joźma

Joźma to była polana, gdzie czekało na nas około 15 baraków zbudowanych z nieociosanych drewnianych bali. Oprócz tego były baraki zwane szpitalem, sklepem, szkołą. Żadnych ludzi tam nie zastaliśmy, oprócz kilku starych Rosjan, zesłanych 10 lat wcześniej. Powiedzieli nam, że i tak mieliśmy szczęście, że czekają na nas baraki, bo ich przywieziono „pod sosenkę”. Po prostu zrzucano nieszczęsnych z sań wprost w śnieg pod drzewami, zostawiono nędzne narzędzia i zapalki. Aby nie zamarznąć, palili wtedy potężne ogniska, przy których siedzieli w nocy, a w dzień wyrąbywali tajgę i sami dla siebie musieli budować baraki.

Joźma to było miejsce, z którego drogi powrotnej nie było. Przywiezieni tam musieli w krótkim czasie umrzeć, a na ich miejsce mieli przybyć następni. Posiołek otaczały mokradła, bagna, bezkresny las i jeziora. Nie potrzeba było żadnego ogrodzenia, ucieczka nie miałaby sensu – śmiałkowie nie przetrwaliby zimy w tajdze. Ludzi przewlekle chorych i kalekich odtransportowano na tzw. „X punkt” lub w „Krasnyj Bor”. Zgromadzono tam podobno około 500 osób, w krótkim czasie wszyscy prawie jednocześnie zmarli. Padło podejrzenie, że zostali otruci.

W dniu przybycia do Joźmy poinformowano nas, że zostaliśmy tutaj skierowani na prawach „zakłjuconnych” (aresztowanych) aż do śmierci, i że musimy dobrze pracować, aby odkupić swoje winy popełnione wobec narodu radzieckiego. Pod żadnym pozorem bez zgody „naczelnika posiołka”, czyli komendanta, nie wolno nam było oddalać się poza rejon zabudowań tej miejscowości. Nawet nie wolno było samowolnie udawać się do okolicznych lasów, na przykład po drzewo do opału, a w lecie do zbierania runa leśnego. Nie wolno było również łowić ryb w płynącej obok rzeczce. Wszystko należało wykonywać na rozkaz. Za łamanie tych zakazów przez dzieci pełną odpowiedzialność ponosili ich rodzice. Na zakończenie wyliczania zakazów komendant stwierdził, że jedyne, co nam tu wolno, to umierać. Później okazało się, że kto ściśle przestrzegał tych zakazów, nie miał żadnych szans na przetrwanie.

Żadnych złudzeń

W chwili zesłania miałem skończone zaledwie 9 i pół roku. Z początku nie interesowałem się wyglądem posiołka, ale z czasem widziałem, że stoi tu szkoła, sklep, świetlica, bania... W piecaku napalono na nasz przyjazd, a nie ma żywej duszy, więc zacząłem pytać: „Kto to pobudował?” Jeden starszy pan odpowiedział, że 10 lat temu przywieźli takich samych zesłańców rosyjskich, jak teraz przywieźli nas, Polaków, i to oni pobudowali osadę, sklep, szkołę... Zadumałem się znowu: „Ale gdzie są ludzie, co to pobudowali?” On tylko patrzył na mnie i odpowiedział wymijająco, że może poszli tam gdzieś do roboty. A była tam też jedna starsza pani, uczepliłem się jej: „Babuszka, powiedz, gdzie ci ludzie?” Babuszka ze smutkiem na twarzy podniosła rękę, pokazała w las za barakami i odpowiedziała: „Chłopcze, widzisz, jaki tu cmentarz wielki... Tam oni są... Na cmentarzu...”

Z perspektywy czasu wiem, że to był najgorszy moment podczas całego zesłania. Zapamiętałem go na całe życie, bowiem wtedy właśnie ja, niespełna 10-letni chłopiec, w jednej chwili zrozumiałem, że zesłano nas tutaj na śmierć...

Baraki

W Joźmie rozlokowano prawie same rodziny z dziećmi. Jak wspomniałem, zakwaterowano nas w barakach z nieheblowanych drewnianych bali, pozostałych po wcześniej zmarłych zesłańcach. Szczeliny między balami uszczelnione były tylko przy pomocy mchu. W baraku, przeważnie podłużnym, w pomieszczeniu o wielkości około 5x6 metrów lokowano 4 rodziny bez względu na liczebność. Po bokach izby znajdowały się prycze zbite z nieheblowanych desek, na które, jako siennik, narzucono ścięte gałęzie świerkowe oraz siano, na środku było wąskie dojsie do pieca. Każdy barak miał piec, w którym jednak nie wolno było palić w dzień, jedynie wczesnym rankiem lub wieczorem, by „lesoruby” mogły trochę przesuszyć odzież. Piec ten był tak duży, że wchodziły do niego na raz ogromne kłoc drewna, które musiało wkładać aż dwoje ludzi. Oczywiście zesłańcy musieli sobie sami te drewniane kłoc przywieźć z lasu na sankach. Skąd brana była cegła na piec – do dziś nie jestem pewien, podobno była wyrabiana za mostem.

Za naszymi barakami było poletko ziemi i dzięki temu każda rodzina miała kawaleczek ogródka, tam sadziliśmy kartofle. A gleba była urodzajna, czarna, tłusta. Ludzie uprawiali ogródki, o ile mieli, co na nich posadzić. Szybko zorientowano się, jaką wartość ma każdy zabrany ze sobą z Polski garnek, bo w Joźmie nie sposób było nabyć żadnego naczynia. Omijając zakazy, chodziliśmy też do lasu, aby znaleźć cokolwiek, co nadawało się do zjedzenia. W zależności od zasobów lasu jedliśmy pokrzywę, jagody, grzyby oraz ryby. Brak było natomiast soli, a wiadomo jak smakuje mięso nieposolonej ryby... W ostateczności jedliśmy również skruszony mech, ale mimo straszego głodu, trudno było przełknąć coś tak bardzo nienadającego się do zjedzenia.

Praca w tajdze

W pierwszym dniu pozwolono nam się rozładować, upchano nas w barakach. Natomiast już w drugim dniu kazano ludziom uszeregować się i iść do pracy w tajdze. Jedną brygadę stanowiło 10 osób, wyznaczono normę 5 kubików na osobę. Prawie każdego, kto tylko nadawał się do pracy, od razu zapędzono do wyrębu lasu. Ja byłem zbyt mały, w dniu zesłania miałem ledwo ukończone 9 lat, pozostawałem więc ze starszymi ludźmi. Z początku moja mama, oraz dwaj bracia i siostra codziennie o świcie wyruszali z innymi łagiernikami do tajgi. Potem mama, która zawsze była słabego zdrowia, zaniemogła i coraz częściej pozostawała na posiołku. Bardzo się baliśmy, żeby mama nie rozchorowała się na poważnie, albo, nie daj Boże, umarła. Już, bowiem dowiedzieliśmy się, jaki straszny los spotyka sieroty, które zostają bez żadnego z rodziców... Takie rodzeństwa były okrutnie rozdzielane i rozwożone do różnych domów dziecka. Jeden z takich domów znajdował się w Piniedze. Nasi koledzy, mali Polacy, przeżyli tam gehennę. Zabroniono im mówić po polsku, na każdym kroku cierpieli szykany, bicie, poniżanie, głód i straszliwe osamotnienie... Moje starsze rodzeństwo instynktownie wiedziało, że trzeba za wszelką cenę chronić mamę i należy pracować, aby zdobyć jedzenie dla nas wszystkich. Przeważnie zesłańcy byli zatrudnieni przy wyrębie tajgi, jako „lesorub” oraz przy spławianiu drewna z lasów. Praca w tych warunkach, przy bardzo wysokich mrozach, w ciągłym głodzie, w chorobach, była prawdziwa katorga. Wygląd katorżników –zesłańców zmieniał się bardzo szybko. Ubrani byli w postrzępione waciane łachmany. Na nogach mieli zniszczone walonki. Nogi poowijane tylko samymi szmatami, a od spodu zamiast podeszwy służył często przywiązany kawałek drewna. Czasem, podczas powrotu z pracy, niektórzy nie mogli już iść o własnych siłach i przy dużym wysiłku na zmianę niesieni byli przez innych. Każdy, więc starał się zdobyć taką pracę, by samemu przeżyć i by móc dokarmić jeszcze członków swojej rodziny.

Ponieważ Joźma leży w bliskim sąsiedztwie rzeki, żegluga wodna była bardzo ważna, gdyż była to chyba jedyna droga kontaktu posiołka ze światem. Statkiem wywożono i przywożono towary, transportowano ludzi oraz pocztę. Moja siostra Jadzia, która wcześniej pracowała ciężko w lesie, a także musiała kosić łąki na równi z mężczyznami, zdołała w końcu dostać się do pracy na taki statek, pływała aż do Archangielska. Ja również raz tam popłynąłem, miałem nadzieję zdobyć jakieś garnki, chleb oraz ubranie, bo to, które mieliśmy jeszcze z Polski, obróciło się już w łachmany. W archangielskim porcie stały amerykańskie statki, po porcie chodzili chyba Amerykanie. Zdecydowałem się podejść do nich, na migi pokazałem, żeby mi dali coś do jedzenia. Dali duży kawałek chleba, udało mi się jakoś pokazać, że taką porcję, to ja dostaję na cały dzień. Wówczas oni dali mi jeszcze więcej chleba, żebym do „domu” zawiózł. Dali mi też ubrania, ale niestety, ono nie nadawało się do noszenia w naszych srogich warunkach, były to cienkie, krótkie marynarki, a nam potrzebne były kufajki...

„Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet”

Przysłowie rosyjskie: „Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet” powtarzano nam przy każdej okazji. Za ciężką pracę dostawało się chleb, to była jedyna zapłata. W lesopunkcie wydawano robotnikom 400-600 gram chleba i zupe, czasem trochę cukru. Ci, którzy mieli dzieci, sami nie dojadali, przynosili do baraku cukier swoim głodnym, niedożywionym dzieciom. Dzieci i ludzie niepracujący dostawali na posiołku najniższą normę chleba, około 200 gram, a później, po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, już tylko 100 gram. Czasem na posiołku dzieci dostawały cukier. Był on rozdzielany w kawałkach, wyglądał jak koks. Wszystkie dzieci były chudziuteńkie, miały ciała powleczone prawie przezroczyłą skórą, pod którą widać było niebieskie żyłki.

Kto nie był w stanie iść do tajgi, czy nawet poszedł, ale nie wyrobił dniówki, ten stale głodował, ale i ludzie pracujący przy wyrębie nie byli dostatecznie mocni, ponieważ katorżnicza praca w tak ciężkich warunkach strasznie osłabiała każdy, nawet najbardziej silny organizm. Wyniszczenie powodowało wiele czynników: zimą praca przez wiele godzin na dużym mrozie, ogólne niedożywienie, brak witamin, brak odzieży – ludzie próbowali osłonić się przed mrozem na każdy możliwy sposób. Trudno było też chodzić w nędznym obuwiu po gruncie pełnym wystających korzeni, pozostałych po wyciętych drzewach.

Dzień w dzień zesłaniec, lesorub, wstawał bardzo wczesnym rankiem, bez względu na pogodę, na mróz, deszcz, czy upał i musiał iść do pracy w tajdze, która polegała na tym, że zżynano drzewa specjalnymi piłami. Narzędzia wykonane były fachowo, pochodziły z najlepszej w Rosji huty stali w Magnitogorsku, piły i siekiery były ostre jak brzytwy. Dodatkowo, co wieczór narzędzia były ostrzone na posiołku przez pracowników stolarni, Rosjan, których zadaniem było przygotować lesorubom piły i siekiery na następny dzień. Gdy Polacy przynosili piły, wówczas Rosjanie ze stolarni zagadywali do nich po polsku, ale tylko w ukryciu. Nie wolno im było z zesłańcami rozmawiać. Bali się, za to groziły bardzo surowe kary. Więc oficjalnie Rusczy nigdy nie gadali z Polakami... Ścięte w tajdze drzewa około 20 metrowej długości były zwożone saniami na brzeg rzeki (saniem z płozami jeździło się po tamtych terenach w każdej porze roku – koła nie zdołałyby jechać po tym gruncie), następnie kłody zwalano do rzeki, płynęły na całej szerokości, jedno drzewo przy drugim. Przy zwalaniu kłód trzeba było bardzo uważać. Zdarzyło się niestety dużo wypadków, gdy lecące bezwładnie po skarpie w dół drzewa uderzyły lub przywaliły nieszczęsnego robotnika, zdarzało się też przy tym wiele utonięć, ludzie wpadali do rzeki ze skarpy lub porwani przez sunące do wody drzewo. Nieraz też kłody zakleszczały między sobą i zgniatały człowieka... Drzewa te spławiane były rzeką do Archangielska, tam je wylapywano i sprzedawano, bardzo często za granicę, na przykład były ładowane na amerykańskie statki i wywożone do Ameryki.

Straszny głód

Głód dał nam się we znaki zaraz po przybyciu do Joźmy i towarzyszył do ostatniego dnia pobytu tam. Nic, ale to absolutnie nic, nie miało większej wartości niż jedzenie. Znam rodzinę, która złoty zegarek zamieniła na wiadro ziemniaków. Podobne zamiany były na porządku dziennym i nikogo nie dziwiły. Wielkim wydarzeniem w posiołku było upolowanie niedźwiedzia, który rozszarpał konia, będącego na służbie władz. Niedźwiedź ten nie gardził również trupami ludzi, których tu było bardzo dużo. Pamiętam, jak zabitego niedźwiedzia niesiono powieszono na drągu. Mięso niedźwiedzia podzielono na małe kawałki i obdzielono wszystkich mieszkańców, którzy zjedli je na surowo.

Latem głód łagodiliśmy zbierając grzyby, jagody oraz pokrzywy. Dziś, gdy widzę pokrzywę, mam dla niej szacunek, bo ratowała mnie na Sybirze w godzinie głodu. Aby mieć, co jeść zimą, staraliśmy się latem robić zapasy. Głównie suszono właśnie pokrzywy oraz grzyby, które ludzie nauczyli się też kusić tak, jak kapustę. Okres lata był jednak bardzo krótki. Wiosna zaczynała się w czerwcu, a jesień kończyła się we wrześniu. Na tak długi okres zimy żadne zapasy z tajgi nie wystarczały. Bardzo często zdarzało się, że ludzie, szukając grzybów, błądzili w lesie i nie wracali nawet po kilka dni, a niektórzy nie wrócili już w ogóle. W tym ciężkim czasie nieustannego głodu wielu zesłańców traciło rozum. Na Syberii w krótkim okresie wegetacji udawał się pewien rodzaj rzepy zwanej „turniepssem”. Syberyjskie zimy są dla przybysza z środkowej Europy straszne. Szczególnie ciężkie na zesłaniu były dwie ostatnie zimy: zima 1942/43 i zima 1943/44. Zmarło wtedy wiele osób. Chodziliśmy głodni, brudni, odziani w łachmany i coraz częściej traciliśmy nadzieję, że kiedykolwiek wydostaniemy się z tego mroźnego piekła. Gdzie głód i brud, tam wszy i inne insekty. Walka z wszawicą była bezskuteczna i beznadziejna, bowiem nie było żadnych środków insektobójczych. Jedynym dostępnym środkiem była nafta. Golono nam głowy i smarowano naftą. Łachmany, w których się chodziło, wkładano do nagrzanego pieca i w ten sposób likwidowano wszy. Pomagało to na krótko, bo zaraz oblażyły następne. Często taka dezynsekcja kończyła się spalaniem ostatniego łachmana. Od wszy jeszcze groźniejsze były pluskwy, które co prawda nie gnieździły się w ubraniach, ale wypełniały wszystkie szpary i szczelinki drewnianego baraku.

Chleb wydzielano nam na kartki. Jak mówiłem, dzieci dostawały po 200, robotnicy po 400 gramów dziennie. Jeżeli robotnik wyrabiał normę, otrzymywał 600 gramów chleba. Były to tak małe porcje, że zbieraliśmy spadające okruszki. Chleb z Joźmy trudno było nazwać chlebem. Nazywał się on tam powszechnie „kirpicz” (cegła), bo był pieczony w foremkach o kształcie cegły. Po zjedzeniu na raz przysługującej na cały dzień porcji chleba, człowiek był prawie nadal tak samo głodny, jak przed jego spożyciem. Prawdziwy biały chleb dostawaliśmy tylko dwa razy w roku, to znaczy z okazji święta 1 maja i z okazji rocznicy rewolucji październikowej.

Panował straszny głód. Widziałem, jak wygłodzeni ludzie obgryzali surowe mięso z konia, który padł w lesie z wycieńczenia, łapali wróble i w piórach piekli je na ogniu, żeby się pożywić. Gdy jest się silnie głodnym, to dla zaspokojenia choć w części głodu, człowiek jest w stanie zjeść wszystko, nawet to, co dotychczas uważał za niejadalne. Ludzi nie tylko dziesiątkował straszny głód i wycieńczająca praca. Dziesiątkowały ich również choroby zakaźne, a zwłaszcza tyfus i gruźlica. Szczególnie dokuczliwa prawie dla wszystkich zesłańców była choroba zwana kurzą ślepotą, spowodowana niedożywieniem i brakiem witamin. Polegała ona na znacznym ograniczeniu zdolności widzenia, szczególnie o zmierzchu i w nocy. Choroba ta szczególnie masowo i z dużym natężeniem występowała w okresie nocy polarnej. Prawie całkowita noc polarna trwała w głównej części zimy, czyli od połowy listopada do połowy lutego. Natomiast dosyć silne mrozy zaczynały się już na początku września i trwały do połowy maja. Śnieg leżał często nawet do końca maja. Były miejsca, gdzie śnieg w ogóle nie topniał przez cały rok. Zdarzały się lata, że nie zdołano zebrać prawie żadnych plonów z pola. Na przykład w sierpniu przychodziły niespodziewanie mrozy, ziemia natychmiast szybko zamarzała i przeważnie nierozmarznięta pozostawała aż do wiosny. W tej sytuacji kołchozy nie zdołały zebrać ziemniaków z pól, pomimo że przeważnie uprawiano bardziej mrozoodporny rodzaj ziemniaków. Dla nas było to zbawienne, ponieważ na wiosnę zmarznięte ziemniaki wykopywaliśmy z pól i stanowiły one dodatkowe źródło pożywienia.

Śmierć zesłańców na posiołku

Szczególnie nieludzkie warunki bytu w czasie deportacji i zaraz po deportacji spowodowały masową śmiertelność ludzi już w pierwszym roku zesłania. Dlatego następne masowe deportacje ludności polskiej z terenów wschodnich Polski władze sowieckie organizowały już nie w okresach zimowych, lecz w okresach wiosennych i letnich, stosując przy tym znacznie złagodzone rygory transportu. Jednak 10 lutego 1940 roku deportacji poddano najbardziej niebezpiecznych dla władzy radzieckiej, a ich los miał być poważnym ostrzeżeniem dla innych potencjalnych jej przeciwników. Żniwo śmierci w tym początkowym okresie pobytu zesłańców w Joźmie było straszne. W przeciągu niespełna roku wymarła prawie połowa deportowanych tam Polaków. W wielu przypadkach wymarły całe rodziny. W pierwszej kolejności umierali mężczyźni i małe dzieci.

Szczególnie zimą śmierć zbierała ogromne żniwo, dlatego wtedy chowano zmarłych bardzo płytko i nakrywano śniegiem, a wiosną odkopywano śnieg i pogłębiano grób. Ale i tak nie było można pochować ciała na przyzwoitej głębokości. Gdy nieboszczyków było bardzo dużo, wywożono ich do tajgi, rzucano na śnieg i przykrywano gałęziami i żerdziami, by nie stały się łupem wilków. Niedźwiedzie dawały sobie radę i z takim zabezpieczeniem. Resztki ciał grzebano dopiero wiosną. Razem z moimi starszymi braćmi, Piotrem i Czesławem, czasami chodziliśmy na cmentarz chować ludzi, bo dostawaliśmy za to dodatkowy chleb. Praca tam nigdy nie była lekka, ziemia była stale zamarznięta, trzeba było siekierą rąbać ziemię, by zrobić dół. Pewnego dnia przyszło nam pochować ojca naszego bardzo bliskiego kolegi nazwiskiem Furmanek, było to straszne przeżycie. Do dziś pamiętam, że jego mogiła znajduje się na środku cmentarza.

Dobrzy ludzie

W okolicach Piniegi mieszkali Nieńcy, dobrzy ludzie, którzy chyba ze względu na swoje trudne koczownicze życie, rozumieli naszą tragedię. Pierwszy raz widziałem ludzi ubranych od stóp do głów w skóry dobrze chroniące przed mrozem. Nieńcy zajmowali się hodowlą reniferów i polowaniami. Dostarczali skór i mięsa reniferów do punktu skupu, który mieścił się właśnie w Joźmie. Na miejscu skóry były wyprawiane i wysyłane dalej, także na front. Wydawało mi się, że Nieńcy współczuli nam, polskim zesłańcom, w każdym razie pomagali na ile mogli, chociaż groziły im za to straszne kary ze strony władzy sowieckiej. Również rosyjscy zesłańcy, nieliczni, którzy przeżyli, teraz starsi ludzie, którzy kiedyś zostali zesłani, bo nie pasowali do nowej sowieckiej rzeczywistości, starali się ulżyć naszej niedoli. Dobre, starsze kobiety, gdy coś np. upiekły, to schowały za pazuchę i ukradkiem przynosiły, zwłaszcza małym dzieciom. Chociaż bały się, bo surowo zakazane było pomagać Polakom. Często tłumaczyły się cicho: „Nam nie wolno Polakom pomagać”. Później, gdy ja roznosiłem pocztę i szedłem 35 km do Piniegi, to zawsze za-

chodząc do „starika”, który siedział w smolarni. Miał może z 50 lat, ale mnie wtedy wydawał się starcem. Był sam, palił w specjalnych piecach, wytwarzało się tam paliwo zwane „skapitar” (coś jakby benzyna), które powoli spływało do małych beczek. Beczki ze skapitarem na saniach wieziono do Piniegi. Starik nieraz bez słowa kładł kawałek chleba na stole, abym coś zjadł w czasie długiej i męczącej drogi. Nieraz też w wielkiej tajemnicy, dużo ryzykując, nalewał mi skapitara do buteleczki. W samej Piniedze powyżej przystani stał dom, w którym mieszkali starsi ludzie z córką, a dwóch ich synów było na wojnie. Ilekroć byłem w pobliżu przystani, to zachodziłem tam, do tego domu. Ludzie ci byli bardzo dobrzy. Wiedzieli, że jestem zesłańcem, że ciągle bywam głodny. Chociaż sami byli ubodzy, to zawsze, kiedy tam wszedłem, leżał na stole ugotowany kartofel. Był on zostawiony dla mnie. Co dziwne, starszy pan bardzo lubił język polski, i choć to było zabronione, prosił mnie, byśmy rozmawiali po polsku. Skąd znał język polski – nie wiem. Ludzi tych będę pamiętał do końca życia. Zbawienną pomoc otrzymywaliśmy również od rodziny. Dzięki wędrującym listonoszom, dowiedzieli się o nas bracia mojej mamy, Józef i Leon Kozakiewiczowie, którzy, jak mówiłem, byli zesłani z rodzicami mamy do posesiłka Siennoj. Byli to piękni, mocni mężczyźni w sile wieku, pracowali w lesie na utrzymanie swoje i starszych rodziców. Kiedy dowiedzieli się, że my jesteśmy w Joźmie, posyłali ruble, za które mogliśmy wreszcie kupić więcej jedzenia. Już nie pamiętam, jakim cudem zdobyła nasz adres siostra mamy, ciocia Stasia, która mieszkała nadal na Polesiu Wołyńskim. Ta, której mąż zdołał wykupić od zesłania całą ich rodzinę, płacąc enkawudzistom złotymi rublami, wcześniej uzbieranymi na wyjazd do Ameryki. Ciocia przysłała nam suszony chleb, suszone mięso i ziarna fasoli, które od razu posadziliśmy. Niestety, rodzina cioci została napadnięta przez banderowców UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii). Na szczęście wszyscy zdołali ujść z życiem, ale już do końca wojny ukrywali się w lasach Wołynia wśród polskich partyzantów.

Posiołek

Posiołek Joźma otaczały dwie odnogi rzeki. Wkoło stały baraki. Była piekarnia gdzie wypiekano to, co najważniejsze: chleb, i dom komendanta. Jak już wspomniałem, nasz komendant nazywał się Czeko-lajow. Z racji swego stanowiska musiał być srogi, ale ja mam dowody na to, że czasem potrafił zachować się po ludzku. Za barakiem komendanta był wcześniej szpital. Byli lekarz i lekarka, ale zabrali ich na front, więc za naszych czasów już nie było szpitala, ani podstawowych leków. Gdy się ktoś skaleczył, to mu felczer zakładał tylko nędzny opatrunek, a przecież przy ścinaniu tajgi często zdarzały się bardzo poważne wypadki. Była szkoła. W niej nauczycielami byli Rosjanie. Nauka przebiegała wyłącznie w języku rosyjskim. Była poczta. Koło poczty mieszkał predsedatiel (rosyjski nadzorca, brygadzysta). Kiedy wszyscy starsi dostali powołanie na front, komendant wyznaczył mnie do roznoszenia poczty. Z Piniegi do Joźmy nosiłem listy pieszo. Był sklep. My mieszkaliśmy naprzeciwko sklepu. Świetlica to był duży barak, a w nim wszelkie instrumenty muzyczne! Młodzi chłopcy i dziewczyny rano wstawali, brali instrumenty ze świetlicy, siadali w koło, grali, śpiewali. Potem szli na cały dzień do pracy, a wieczorem z powrotem rozbrzmiewała muzyka. Później, jak powołano młodych na front, to był już koniec muzykowania. Zabierali po kolei wszystkich, coraz młodszych, a na końcu zabrali takich, co mieli po 16 lat... Zabrali i chłopców i dziewczyny, również mojego 18-letniego brata Czeška. W wyznaczonych dużych, drewnianych barakach przechowywano mięso w ten sposób, że do wykopanego głębokiego dołu wiano wodę, a gdy zamarzała, obłożono lód mchem. W ten sposób cały czas utrzymywana była niska temperatura, dzięki czemu można było przechowywać pożywienie. Na końcu była wybudowana szklarnia i tam rosły frukty: pomidory, ogórki. Paliło się cały czas w piecu, żeby mróz ich nie zważył. Jakies 200 metrów od ostatniego baraku, w lesie, znajdował się cmentarz. W położonym, koło rzeki kolchozie były krowy: 200 krów zdrowych i 200 krów takich, którym coś dolegało, ale nadal były hodowane. Mleko i przetwory z tego mleka wysyłano na front. Ci, co pracowali przy krowach, dostawali po litrze mleka. Zdrowe i chore krowy wypuszczano osobno, a pilnowane były przez pastuchów. Kiedy wysłano wszystkich młodych, w tym pastuchów, na front, wtedy już nie miał, kto chodzić z krowami. Ponieważ tak się złożyło, że ja byłem najstarszy z tych, których nie objęło powołanie na wojnę, więc z jednym starikiem, Rosjaninem, musieliśmy paść wszystkie krowy. Na posesiłku pozostały tylko osoby starsze, niezdolne do pójścia na wojnę i małe dzieci. Kiedyś zabłądziliśmy w lesie razem z tymi krowami. Starik nie znał się wcale na lesie, choć już ponad 10 lat żył tam na zesłaniu. Ja mówiłem, że trzeba iść tędy, a on tędy. Jeszcze zwymyślał mnie: „Ty Polaczok, ty się nie znasz!” Szliśmy długo, już wieczór się zrobił, zatrzymałem krowy, obszedłem stado wkoło, krowy położyły się. Na szczęście w kolchozie było jeszcze kilku chłopaków ruskich. Wsiedli oni na konie, mieli taką głośną trąbę i trąbili, żebyśmy ich usłyszeli i odnaleźli się. Ale co z tego, że ja ich słyszę, skoro jak krzyknę, to oni mnie nie słyszą. Ja mówię do starika: „Teraz trzeba coś zrobić, żeby do tych chłopaków dojść”. Starik zdenerwował się: „O! Ja pójde, jeszcze zabłądę i wcale nie wyjdę, i zginę, bo oni pojedą w inną stronę. Siedzmy tutaj!” Sprytni Rosjanie jeździli tak, że w kółko zataczali kręgi, aż dojechali do nas. I tak nas uratowali. Od tego czasu zawsze już miałem za pasem siekierkę i później wszędzie porobiłem znaki, na drzewie taki krzyż wycinałem na

południe. Wtenczas nawet jak zabłądzisz, to zorientujesz się po tym krzyżu. Bo dużo ludzi poginęło w tajdze, zabłądzili i zmarli z głodu i wyczerpania. Jakiś czas potem z mamą poszliśmy na grzyby i też zabłądziliśmy w tym lesie, mama każe iść tu, a ja tu. Grzybów nazbieraliśmy dwa wielkie wiadra, ale nie mogliśmy do posiołka trafić. Ja mówię: „Mama, tutaj trzeba iść”. Poznałem drogę po krzyżykach i jakoś wyszliśmy. Już ciemno było, gdy szczęśliwie dotarliśmy do naszego baraku. Była też stolarnia. Okazało się, że ja mam talent do przeróżnych prac. Bardzo szybko nauczyłem się fachowo podkuwać konie, stawiać baraki, kłaść dachy, uprawiać rośliny, opiekować się zwierzętami, szczególnie końmi. Jeśli chodzi o ciesielstwo czy dekarstwo, to wystarczyło, że przyglądałem się, jak pracują robotnicy, a zaraz potem i ja potrafiłem tak samo dobrze wykonać daną pracę. Za rzeczką był wielki warsztat stolarski, często tam pracowałem. Widmo śmierci głodowej wyzwało niezwykłą pomysłowość i zaradność w zdobywaniu czegoś do jedzenia. Pewnego roku, gdy głód stawał się nie do wytrzymania, podjąłem desperacką próbę polowania na ptaki, które nazywano „głuchary”. Bardzo trudno było je złapać, były strasznie płochliwe. Ptaki te zbierają się w stada, pięknie śpiewają. Zastawiałem na nie sidła z włosów ogona konia, na deski posypałem zboże, ale nic się nie złapało. Wtedy w tajemnicy zrobiłem coś jakby pistolet. Znalazłem jakąś rurkę, zaklepałem, z drzewa wyciąłem rączkę, paczkę zapalek zmieszałem z pociętym drutem, i nic nikomu nie mówiąc, poszedłem strzelać na głuchary. Było to raniutko. Strzelałem, i choć ich nie zabiłem, to jednak one przewracały się, a ja już zdołałem je złapać. Wtedy pracowałem w stolarni, a tam też kilkoro ludzi robiło i żeby się nie wydało moje strzelanie, to jednego, czy dwa ptaki zanosłem mamie do domu, a resztę do stolarni, żeby inni też zjedli. Za jakiś czas przyszedł komendant Czekołajow i zwraca się do mnie: „Wańka, chodź na dwór, pogadamy sobie, żeby inni nie słuchali”. Wyszedłem, a on mówi: „Zrobiłeś jakiś pistolet, do głucharów strzelasz!” Skąd się dowiedział, nie wiem, może jakieś dziecko powiedziało? Ja odpowiadam: „No faktycznie, prawda”, bo co będę kłamać. I zaraz dodałem: „Panie komendancie, żeby zarobić na 400 gram chleba, to ja muszę becзки robić te, co wysyłamy na front, sanie robić, w kuźni cały czas być, jak mam mieć na to wszystko siłę?” On odpowiedział: „Wańka, ja cię rozumiem”. To ja ośmielony dalej mówię: „Ja do domu zanoszę jednego głuchara, a tutaj przynoszę więcej, daję tym, co tu pracują”. Czekołajow na to: „Ale trzeba uważać, żeby się o tym nikt nie dowiedział. Jak ktoś przyjedzie obcy, to trzeba je w lesie zostawić, bo jak znajdą... Są różni ludzie”. Niedługo potem poszedłem znowu polować i myślę sobie: „Trzeba komendantowi też zanieść jednego”. Zaniósłem, a Czekołajow poszedł akurat do przedsdatiela, zostawiłem głuchara jego żonie. Ależ mi dziękowała! Od tego czasu zawsze jednego ptaka nosiłem do domu, drugiego do kuźni, a trzeciego do komendanta. Bo on też był wywieziony – 15 lat przed nami Stalin go wywiózł. W stolarni ludzie palili w piecu, naginali drzewo i robili sanie. Tam nie było gwoździ, więc robotnicy wyginali łoży jak drut i robili wiązania, łączenia do sań. Wozów nie, tylko sanie, całe lato saniami się jeździło, bo wozem tam nie sposób jeździć. Ziemia jest taka tłusta, że zakleja koła. Za rzeką było stado około 500 koni. Ogrodzono je drewnianym płotem, wysokim, by żaden koń nie przeskoczył. Konie to bardzo mądre zwierzęta, razem potrafią obronić siebie nawet przed niedźwiedziem. W razie niebezpieczeństwa zbijają się w stado, głowami do środka, i kopią, wierzgają tylnymi nogami. Wtedy niedźwiedź im nic nie robi.

Życie w Joźmie

Rano, przed pójściem do tajgi, ludzie dostawali chleb i cienką zupę. Wszyscy stali spokojnie w kolejce. Mimo ogromnej biedy i wielkiego głodu wszyscy się szanowali. Potem pracujący brali siekiery, piły i szli do tajgi. Praca przy wyrębie była ściśle zaplanowana: mężczyźni ścinałi piłami drzewa, przestrzegano ścięcia na określonej wysokości pnia, kobiety obcinały gałęzie, młodszy palili drobne, nieprzydatne już do niczego, gałązki. Prawdziwą zmorą nie do pokonania były plagi komarów i meszek, które dostawały się wszędzie: do oczu, nosa, uszu i boleśnie kasały, jakby zmówiły się z władzami Rosji i chciały jeszcze i one wssać ostatnią krew z nieszczęsnych zesłańców... Dla Polaków straszny był brak słońca zimą. Pierwszy raz doświadczyliśmy też „białych nocy”, które nie występują w naszej szerokości geograficznej. Jakże prawdziwe również okazało się powiedzenie, że na Syberii jest tylko 9 miesięcy zimy, a reszta to lato i lato... Wokół Joźmy są tylko lasy. Żadne wojsko nie musiało pilnować posiołka, bo gdzie uciekniesz? Jak daleko zajdziesz? Poblądzisz i umrzesz gdzieś w bezkresnej tajdze, wciągną cię bagna, albo utopisz w jednym z wielu, wielu jezior. Zresztą, mało brakowało, a moi bracia by się w nich utopili. Poszliśmy się kąpać. Co prawda Rosjanie mówili, żeby w tych jeziorach daleko nie wypływać, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że są aż tak niebezpieczne. Ja stałem jeszcze na brzegu, Czesiek z Pietrkiem wskoczyli do wody, a tam były wiry, które ich porwały. Dobrze, że nie odpłynęli dalej. Zaczęli krzyczeć i próbowali za wszelką cenę dostać się bliżej brzegu. Złapałem ogromną gałąź i wrzuciłem im na ratunek, a drugi koniec gałęzi trzymałem z całych sił. Jakoś udało im się ucześcić konara i powoli, powoli wyczołgali się z wody. Padli na trawę prawie bez sił. Było to bardzo niebezpieczne zdarzenie. Tak samo wielkie niebezpieczeństwo stanowiły bagna otaczające Joźmę, trzeba było bardzo patrzeć na roślinność. Na mokradłach rosły tylko małe drzewka, kępki trawy i truskawki, to znaczy owoce miały takie, jak nasze truskawki – słodkie,

duże. Zbierali je Nieńcy i do chłodni przywozili, sprzedawali. Nieńcy także, jak upolowali niedźwiedzia, czy łosia, to przyjeżdżali do chłodni ze swoją zdobyczą. Dostawali za to kartki na chleb i nie wiem, co jeszcze. Czasami chodziłem nad jeziora łowić ryby. A raz poszedłem jeszcze z jednym kolegą nad jezioro dalej położone, ale zarzuciliśmy wędkę raz, drugi, i nic nie złapaliśmy. Zdziwiliśmy się, bo w rzece ryb było mnóstwo, a tu nic. Chciałem napić się wody, spróbowałem – słoń! Oho! To już dobrze! Już mamy sól! Odparowywaliśmy wodę i nareszcie mogliśmy poczuć cudowny smak posolonej ryby. Nie było w Joźmie studni. Polacy starali się temu zaradzić, kopali w wielu miejscach, ale nigdzie nie udało się trafić na źródło, które by dostarczało wodę do picia. Naokoło bagna, a nie było źródlanej wody... Klimat powodował bardzo szybką vegetację roślin, np. ziemniaki, które u nas w Polsce sadi się na wiosnę, a zbiera jesienią, tu dawały plony w o wiele szybszym tempie. Uprawa ich polegała na tym, że bulwom obcina się końce i wkłada do drewnianych pudełek, które wcześniej zrobiliśmy w stolarni, i wstawia do cieplarni – szklarni. W końcu maja, gdy robi się ciepło, wszyscy ludzie naraz sadzą te kartofle, biorą po jednym i zakopują w ziemię. Za 2 tygodnie kartofle już kwitną. My uprawialiśmy, ale nie wolno nam było niczego z tych upraw jeść, wszystko przeznaczone było na front rosyjski. W czasie ścinania zboża, jeden z przedstawicieli władzy chodził między pracującymi z karabinem, by ludzie nie zbierali dla siebie kłosów.

Ocalić namiastkę życia w sobie

Zesłańcy starali się zachować jakąś namiastkę normalnego życia w tych nieludzkich warunkach. Jak wspomniałem, moi dziadkowie byli zesłani razem ze swoimi synami na posesję o nazwie Siennoje. Strykowie byli młodymi mężczyznami o niezwyklej, ormiańskiej urodzie. Chcieliby żyć jak młodzi mężczyźni. Leon był starszy, uganiał się za dziewczynami. Do dziś krąży o nim anegdota, jak na wyrębie drzew zapoznał dziewczynę i umówił się, że przyjdzie do niej późnym wieczorem. I chociaż dziewczyna mieszkała w innym posesiu, oddalonym o ok. 30 km, to Leon udał się na spotkanie. Nad ranem wrócił i stawiał się jakby nigdy nic, do pracy. Jednak jakiś zazdrosny „szpon” doniósł komendantowi o nocnej wyprawie Leona. Komendant wymierzył kawalerowi karę polegającą na czyszczeniu latryny... Jednak kiedy inni zesłańcy kiwali głowami i pytali: „Oj, Leon, opłaciła Ci się ta wyprawa?” Leon uśmiechając się z dumą odpowiadał: „Ale na randce byłem!” Drugi z Kozakiewiczów, Józef, w tym czasie już kawaler, był ulubieńcem wszystkich dziewcząt z Siennego. Wesoły, miły, uczynny, przystojny, zawadiacki – to tylko niektóre z epitetów, jakie do dziś padają na temat Józka. On był 20-letnim chłopcem i też starał się cieszyć swą młodością. Udało mu się jakoś zabrać z domu swój rower i dowieźć aż na miejsce zesłania. Jak tego dokonał? Nie wiem. Faktem jest, że śmigał na tym rowerze aż miło, a największą radość sprawiał młodym dziewczynom, gdy szli na wysoką skarpe i stawali przy drodze opadającej spadziście w dół do rzeki. Józek siadał na rowerze i pytał: „Kogo przewieźć?”, dziewczęta wołały ochoczo: „Mnie! Mnie!” Wtedy szarmancki „kolarz” brał na ramę po kolei każdą z nich, a najczęściej piękną Krysię Darowską, i pędzili z ogromną prędkością w dół. Dziewczęta przerażone głośno krzyczały, piszczały, a Józek jeszcze bardziej pedałował, żeby zwiększyć szybkość! Ale ani strach, ani to, że z powrotem trzeba było wdrapywać się z rowerem na stromą skarpe, nie przeszkadzało młodym dziewczętom ponownie stawać na górze i na pytanie wesołego Józka: „Kogo przewieźć?” znów odpowiadać głośno: „Mnie!” Józek też znany był z tego, że lubił grać w piłkę nożną i gdy tylko czas mu na to pozwalał, wytyczał prowizoryczne boisko, robił bramki i rozgrywał mecz. Te na pozór beztroskie chwile jednak były tylko nielicznymi momentami w łagierniczym systemie życia na zesłaniu w Siennom. Tak naprawdę to trzeba było bardzo ciężko pracować, aby jakoś przeżyć. A Leon z Józefem musieli zadbać też o starszych rodziców, z czego dobrze się wywiązywali. Z czasem, gdy dowiedzieli się, że my przeżywamy na zesłaniu w Joźmie, również przesyłali zarobione pieniądze, by pomóc nam przetrwać.

Przeciwko władzy sowieckiej

Razem z nami w baraku mieszkała Józefa Zajkowska, pochodziła ona również z naszych stron. Miała córkę Franię i nieco opóźnionego w rozwoju syna, Edzia. Pani Zajkowska nigdy nie pogodziła się z zesłaniem. Pewnego dnia zabrała wszelkie dokumenty, jakie udało jej się zabrać z domu, przede wszystkim akt własności ziemi, po czym nic nikomu nie mówiąc, wzięła Edzia za rękę i opuściła samowolnie posesję. Okazało się, że ta dzielna kobieta dotarła aż do Archangielska, tam poszła do komendatury NKWD, przedstawiła swoje dokumenty i zażądała, by zezwolono jej na powrót do Polski, bo jest obywatelką polską, nieprawie tu zesłaną i przetrzymywaną. Ze smutkiem muszę powiedzieć, że jej heroiczny czyn na nic się nie zdał. Po pół roku przywieziono ją z powrotem statkiem do Piniegi, a stamtąd pod eskortą policjanta wróciła pieszo do Joźmy.

Kiedy głód dał nam się mocno we znaki, moje rodzeństwo wpadło na karkołomny pomysł, by zabić jedną z owcy hodowanych w kolchozie. Razem z siostrą Jadzią zakradliśmy się do ogrodzenia, złapaliśmy

owcę, uciekliśmy z nią do lasu, zabiliśmy, upiekliśmy i zjedliśmy. Kawalki już gotowego mięsa przynieśliśmy mamie. Udało się, nikt się niczego nie domyślił. Później, za jakiś miesiąc, chcieliśmy z bratem Piotrkim powtórzyć ten czyn. Ale tym razem nieostrożnie chcieliśmy ugotować mięso w baraku. A po posiołku chodzili tacy, co zaglądali wszędzie, szpiegowali po chałupach i donosili. Przyszedł komendant z lekarzem i mówią, że coś u nas pachnie, wyciągnęli garnek, zobaczyli mięso i zaczęło się przesłuchanie. Próbowaliśmy się tłumaczyć, że znaleźliśmy zdechłą owcę i przynieśliśmy ją do baraku, ale oczywiście nikt nam nie uwierzył. Zawieziono nas do Piniegi i tam odbył się nad nami najprawdziwszy sąd. Ponieważ ja byłem nieletni, odesłali mnie do domu, ale mojego brata Piotra zamknęli w więzieniu w Archangielsku. Jednak Piotrowi tam w więzieniu lepiej było, niż nam na posiołku, bo tam przynajmniej dawali skazanym codziennie coś na obiad, a my nadal przymieraliśmy głodem.

Jak wspominałem, moi dziadkowie zdołali przeżyć pierwszy okres zesłania dzięki opiece ze strony dwóch synów. Gorzej było, gdy predsedatiel Siennego, Doplewski, (rosyjski nadzorca, brygadzysta odpowiedzialny za pracę zesłańców), wysłał młodych Kozakiewiczów wraz z innymi mężczyznami do lesopunktu w Szukszy, gdzie pracowali i przebywali cały tydzień. Wtedy zapewnienie bytu małżeństwu Kozakiewiczom spoczywało na barkach żony. Ta dzielna kobieta zasługuje na wieczną pamięć i szacunek. Krucha, szczupła, ale bardzo energiczna Józefa musiała pracować za siebie i chorego męża. Wkrótce pojawiło się bowiem u niego nowe schorzenie, prawdopodobnie choroba Buergera. Noga Piotra spuchła, bardzo bolała, wywiązał się stan zapalny. Gdy w 1941 roku generał Władysław Anders tworzył oddziały swej armii, Leon i Józef postanowili skorzystać z okazji, by wydostać się z głębokiej tajgi i dołączyć do żołnierzy mających walczyć o wolność Polski. Jak tragicznie musiało wyglądać pożegnanie synów z rodzicami pozostającymi na zesłaniu, możemy sobie tylko wyobrazić. Dziś wiemy, że już nigdy potem się nie zobaczyli...Wspomniana już pani Krystyna Darowska opowiadała, że ochotnicy do wojska, piękni, młodzi i odważni mężczyźni, ustawili się w szeregi i opuszczając Siennoje, maszerowali i śpiewali polskie piosenki, a zesłańcy z posiołka strasznie płacząc, machali im na pożegnanie. Synowie Józefy i Piotra Kozakiewiczów zdali się na nieznany los, walcząc na wojnie, zaś rodzice pozostali w Siennym i również nie byli pewni, co przyniesie następny dzień. Piotr Kozakiewicz coraz bardziej podupadał na zdrowiu. O ile wcześniej starał się chodzić do lasu, by zdobyć środki na utrzymanie, tak teraz nie dawał już rady. Coraz rzadziej widywano go na posiołku idącego o lasce, czy prowizorycznych kulach. Gdy nie było już synów, naprawdę cały wysiłek utrzymania przy życiu spoczął na Józefie Kozakiewiczowej. Sama musiała przedrzeć się z saneczkami do lasu, by piłą naścinać drewna na opał, musiała też zdobyć żywność dla dwojga, zbierała więc to, co inni zesłańcy i przetwarzała tak, aby przybrało choć trochę postać jedzenia: grzyby, lebiodę, pokrzywy, brukiew, szczaw, a w ostateczności syberyjski mech, który zmielony i dodany do mąki lub zmieszany z otrębami pozwalał na jakiś czas oszukać głód. W tych okrutnych warunkach Józefa starała się zachować godność, nigdy nikomu się nie skarżyła, wkładała wiele wysiłków, by ulżyć mężowi cierpienia. Co mogła zrobić? Zmieniała bandaże na chorej nodze, prała je i znowu zawijała. A nie było żadnych lekarstw, żaden felczer prawdopodobnie Piotra nie oglądał. Józefa sama nie dojadła, dokarmiła męża, który stopniowo coraz bardziej opadał z sił. Krystyna Darowska, mieszkająca w szóstym baraku, opowie po latach, że czasem widywała panią Kozakiewiczową, jak szła pośpiesznie do posiołkowego sklepu. Nieduża, szczupła, sprytna, zaradna, zawsze pogodna – powie Krystyna o tej dzielnej kobiecie, mojej babci Józefie. Nie było czasu, by posiedzieć i porozmawiać, chociaż przed zesłaniem Darowscy i Kozakiewiczowie mieszkali w Czerwiszczach blisko siebie, to w Siennym musieli robić wszystko, by przeżyć, a nie skarżyć się na los. Józefa starała się zachowywać godnie w tych nieludzkich warunkach. A czasy przychodziły coraz cięższe, najgorsze i najsrozsze były ostatnie dwie zimy. Rosjanie zabrali zesłańcom wszystkie dodatki; mówiono, że Stalin mści się na Polakach za to, że Anders wyprowadził polskie wojsko na Wschód. Kto mógł, przenosił się z Siennego do większych miejscowości, bo na zdany na łaskę Boga posiołku szanse przeżycia drastycznie malały. Ale Józefa i Piotr Kozakiewiczowie ze względu na jego chorą nogę nie mogli się ruszyć. W końcu w Siennym pozostały już tylko trzy rodziny opuszczonych zesłańców: Kozakiewiczowie, pani Darowska z kilkorgiem małych dzieci i jeszcze jedni ludzie, którzy nie mieli możliwości ucieczki – i kto wie, czy nie zostali tam na zawsze... Dziś wiemy, że dzielna Krysia Darowska uratowała swoją mamę i rodzeństwo, ciągnąc ich zimą na sankach kilkadziesiąt kilometrów do Karpogor. Jak Józefa z Piotrem opuścili Siennoje – pozostanie już chyba tajemnicą... Kozakiewiczowie na pewno zdawali sobie sprawę, że podróż przy tak chorej nodze Piotra będzie gehenną, ale za wszelką cenę pragnęli wrócić do Polski. Latem 1944 roku zdecydowali się. Musieli najpierw dostać się nad rzekę Pinieję, aby wsiąść na statek. Kto ich zawiózł, nie wiadomo. Może jacyś Rosjanie podążający wozem w tym samym kierunku? Bo pieszo Piotr by na pewno nie doszedł. Potem godzinami stali razem z innymi zesłańcami na brzegu rzeki i czekali na statek, by zabrał ich z tej okrutnej ziemi. Tak płynęli najpierw małym statkiem do miasta Piniegi, gdzie przesiedli się na statek większy i znowu wyruszyli w tygodniowy rejs Dwiną do Archangielska. Jak zdołali znieść niewygodę podróży, tego nikt nie wie. Musieli namęczyć się strasznie, szczególnie Piotr ze swoją chora nogą. Do kajuty schodziło się w dół stromymi schodami pod pokład. Ale czy w ogóle mieli kajutę? Podróż w okrop-

nych warunkach na pewno Piotra dobiła. Spuchnięta, zaogniona noga z trwającym od dawna stanem zapalnym, sprawiała przy każdym ruchu straszny ból. Gdyby nadeszła pomoc lekarska, pewnie nakazano by nogę amputować, a Piotr mógłby żyć dalej. Już na statku zaczął tracić świadomość. Zrozpaczona Józefa nie opuszczała męża ani na sekundę. Kiedy ich statek przybył do Archangielska, nastąpił kres ziemskiej wędrówki Piotra Kozakiewicza. Żona zamknęła mu oczy na zawsze. Ludzie z portu powiadomili żołnierzy o zgonie zesłańca. Ci zabrali ciało Piotra, pozostawiając umęczoną, skamieniałą z bólu Józefę. Co ona biedna myślała i przeżyła, samiutka jak palec, we wrogim kraju, pogrążona w żałobie – możemy się tylko domyśleć... Gdzie pochowano Piotra? Nikt nie wie. Jedni przypuszczają, że może na archangielskim cmentarzu, w bezimiennej mogile, może wspólnie z takimi jak on, polskimi zesłańcami? Jeszcze inni mówią, że ciała zesłańców zatapiano w Morzu Białym... Powtórzę słowa pani Krystyny Darowskiej, po mężu Jakłowej, która ciągle po latach wspomina swoich przedwojennych dobrych sąsiadów z Czerwiszczy i współtowarzyszy niedoli z Siennego: „Może nie wolno tak mówić, ale dla pana Kozakiewicza lepiej by było, gdyby umarł w Siennym. Na pewno wszyscy Polacy poszliby na pogrzeb, żeby go pożegnać i godnie pochować. Rosjanie daliby drewno z tajgi na trumnę, nad mogiłą postawiono by drewniany krzyż, odmówiono by modlitwę... Piotr spocząłby na „kladbiszczy” w Siennym, wśród swoich”.

Wojna niemiecko-rosyjska.

Gdy Niemcy niespodziewanie napadły na Rosję, nasza sytuacja nieco zmieniła się. Dzięki staraniom polskiego wodza, generała Władysława Sikorskiego, zostaliśmy, jako „zakliuczonyje”, objęci tzw. amnestią, teoretycznie byliśmy wolni. Powtarzam: teoretycznie, bo od razu zostaliśmy wezwani do komendantury NKWD, gdzie namawiano wszystkich, by pozostać w Rosji, kazano nam podpisać deklarację „dobrowolnego” pozostania w dotychczasowym miejscu. Na świecie szalała wojna, my już byliśmy rozdzieleni z bratem Piotrem, gdzie mieliśmy pójść? Ludzie uwierzyli, że gdy skończy się wojna, to wrócą do Polski na swoje dawne miejsce zamieszkania. Na razie z Rosji wy dostać się nie mogliśmy. Niektórzy zdecydowali się opuścić posesję i w poszukiwaniu łatwiejszego życia przenosili bliżej dużych miast. Przedostawali się na brzeg rzeki do przystani, aby móc wsiąść na statek i wyjechać. Płynęli statkiem do Piniegi, a stamtąd przeważnie kierowali się nie na Archangielsk, lecz na wschód, na Kottas. Wielu z nich trafiło potem pod opiekę armii generała Andersa. Pozostali w 1944 roku przenieśli się na Ukrainę, gdzie klimat jest ciepły i przyjazny człowiekowi, a jedzenie jest o wiele łatwiejsze do zdobycia.

Jak wspominałem, moi stryjowie, Leon i Józef, również zdecydowali się zaryzykować i opuścili posesję. W wyniku perypetii podczas długiej i ciężkiej drogi bracia zostali rozdzieleni, wskutek czego Józef dotarł do armii pod dowództwem generała Władysława Andersa, zaś Leon zasilił szeregi odważnej armii generała Stanisława Maczka. Również mój brat Czesław poszedł do nowo utworzonego Wojska Polskiego.

Opuszczenie Joźmy

W 1944 r. prawie wszyscy Polacy opuścili Joźmę. Moja mama i siostra Jadzia również udały się do Piniegi, by tam czekać na statek. Pozostałem jako jeden z nielicznych. Wszyscy starsi mężczyźni, których objął pobór do wojska, wśród nich i mój brat Czesław, byli już na wojnie. Również kobiety, Polki, bardzo ofiarnie szły na front, jako ochotniczki.

Pracowałem wtedy w kuźni i stolarni. Komendant dobrze wiedział o moich umiejętnościach i do ostatniej chwili nie chciał wypuścić mnie z posesji. Gdy już nie mógł mnie zatrzymać siłą, zaczął nawet prosić, bym nie odjeżdżał. Znał moje zamiłowanie do koni, więc podchwytliwie ciągle wyznaczał mi pracę przy tych zwierzętach. A to trzeba było je wypuścić, a to zagnać z powrotem, a to podkuć... Nie potrafiłem odmówić i zostawić ukochanych koni bez należytej opieki. Komendant wyznaczał mi ciągle różne zadania do roboty, czas biegł. Wiedziałem, że muszę w końcu udać się na przystań rzeczną do odległej o ponad 35 km Piniegi, by dostać się na statek, inaczej groziło mi odłączenie się od rodziny i pozostanie w posesji na zawsze. Pracowałem w pocie czoła przy kuciu koni, opuściłem posesję jako jeden z ostatnich Polaków. Pozostali tylko nieliczni Rosjanie, ale oni nie mieli dokąd pojechać. Nieszczęśni mówili: „My już nie mamy domu. Tu już nasza mogiła...”

Odprowadził mnie posesjowy kolega, Rosjanin, młodszy o około 2 lata. Stanęliśmy na mostku. Dałem mu ten pistolet, który sam zrobiłem, i powiedziałem: „Będziesz miał z czym chodzić na ptaki”. On miał przy sobie jedno surowe jajko, które na ostatek wypiliśmy wspólnie. Na tym mostku pożegnaliśmy się na zawsze... Chłopak wrócił na posesję, a ja puściłem się biegiem 35 km do Piniegi na statek. Ledwo dobiegłem, statek ruszył.

Na statku po raz pierwszy od czterech lat poczułem iskierkę wolności, chociaż nie zdawałem sobie sprawy, że nadal jestem i pozostanę nadal jeszcze przez długie dwa lata więźniem Związku Radzieckiego.

Obserwowałem ziemię, którą nareszcie opuszczałem. Co jakiś czas na nadbrzeżach stali ludzie, zesłańcy polscy, czekali na statek, którym ja już płynąłem. Ludzie stawili się ze swoim nędznym dobytkiem zawieszonym w tobołku, o ile ktoś jeszcze w ogóle cokolwiek posiadał. Widoki nieraz były bardzo przygnębiające i łamały moje serce. Ze statku widziałem, że gdzieś tam bieleją baraki, a panuje grobowa cisza, nikt nie wyszedł na nadbrzeże, statek nie zacumował. Kiedy popatrzyłem w głąb posiołka zobaczyłem mnóstwo krzyży... Zrozumiałem, że wszyscy pomarli na tyfus. Tyfus był okrutną chorobą, na którą nie było lekarstwa. Szczęściem w nieszczęściu, nasz posiołek był położony w głuchej tajdze, nie mieliśmy prawie kontaktu z przybyszami z zewnątrz, toteż było mniejsze prawdopodobieństwo zarażenia się. Posiołki zbudowane bliżej rzeki wodującej do Archangielska były bardziej narażone na kontakt z chorymi. I dlatego te osady stały puste.

Krym

Po opuszczeniu Rejonu Pinieńskiego długo trwało, zanim dotarliśmy na Krym. Z Archangielska dotarła tam również babcia Józefa. Szczęściem w nieszczęściu, gdy po śmierci męża samotnie czekała na pociąg, który miała ją zawieźć na Ukrainę, wśród innych oczekujących Polaków zobaczyła swego wnuka, a mojego brata – imiennika dziadka – Piotrusia. Zwolniono go z więzienia (przypomnę: za zabicie owcy) i z nim wyruszyła pociągiem w dalszą drogę przez Moskwę na Krym.

Władza sowiecka przetrzymywała nas na Ukrainie jeszcze do 1946r. Jak mówiłem, mój brat Czesiek poszedł wcześniej do Armii Polskiej. Z Ukrainy dołączył do niego drugi brat, Piotr. Obydwaj przeszli cały szlak wojenny i dotarli aż do Berlina. Ja z mamą i siostrą Jadzią ciągle tkwiliśmy w Rosji. Nadal byliśmy rozdzieleni z babcią, bo zakwaterowano nas w różnych kołchozach, znacznie oddalonych od siebie. Babcię Józefę ulokowano niedaleko Połtawy w rejonie karłowskim, w sowchozie zwanym „Oktiabr Hut-Solonaja”, zaś nas w Uljanowce koło Wyski. Udało nam się zdobyć adres babci, napisałem do niej list, który, jak się okazało, babcia przechowywała jak relikwię i po wojnie przywiozła ze sobą do Polski. Na Ukrainie nadal żyliśmy biednie, ale niczego nie można było porównać z tym, co przeszliśmy w Joźmie.

Opuszczenie Rosji i upragniony powrót do Polski

W połowie 1946 roku ja z mamą i siostrą Jadzią oraz osobno babcia Józefa Kozakiewicz, powróciliśmy wreszcie do Polski.

Okazało się po latach, że rodzeństwo mojej mamy, które nie zostało zesłane i w czasie wojny walczyło w lasach Polesia Wołyńskiego, umówiło się, że po wojnie każdy, kto przeżyje, osiedli się w centralnej Polsce, skąd wziął początek nasz ród. My niestety o tym nie wiedzieliśmy. Zresztą, ta wiedza i tak na nic by się zdała, bo pociąg repatriacyjny przywiozł nas na tzw. Ziemię Odzyskaną. Nikt nikogo nie pytał, gdzie chce zamieszkać. Wysadzono nas w miasteczku Wąsosz w województwie wrocławskim. Cała ocalona rodzina szukała się przez Czerwony Krzyż.

Ci, co zgodnie z umową osiedli pod Warszawą, starali się odnaleźć pozostałych krewnych i skupić koło siebie. Jakimś cudem odnaleziono babcię Józefę. Zamieszkała ona przy córce Leokadii w miejscowości Nowa Iwiczna. Z czasem nas również odnaleźli przez Czerwony Krzyż. Niestety, nasza mama Weronika bardzo ciężko zachorowała. Wiele lat życia w głodzie i chłodzie, w strachu o dzieci, w rozpaczliwej niewiedzy o losie męża Andrzeja, spowodowały, że zapadła na ciężką depresję, z której już nigdy nie wyszła. Nie mogliśmy wtedy narazić mamy na przeprowadzkę i nie dołączyliśmy do nowego skupiska rodziny.

Stan mamy był bardzo ciężki i stale się pogarszał. Również i babcia Józefa, ta, co wytrzymała piekło Sybiru, śmierć męża i wielotygodniowe trudy powrotu do kraju, nagle w wolnej Polsce straciła wszystkie siły. Zmarła równo pół roku po powrocie z zesłania, 20 stycznia 1947 roku. Józefa Kozakiewicz przed śmiercią zdążyła zobaczyć się tylko z połową swoich dzieci. Synowie, z którymi była w Siennym – Leon i Józef – żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, zostali za granicą: Leon w Niemczech, a Józef w Anglii. Leon za nic nie chciał wrócić do kraju zdominowanego przez komunistów pod rządami Rosji. Podjął pracę w sektorze amerykańskim w Niemczech. Dobrze wiedział, że w Polsce od razu będzie ścigany przez Urząd Bezpieczeństwa. A Leon chciał żyć. Natomiast Józef po kilku latach zdecydował się na powrót do kraju, ale już nie zdążył zobaczyć matki. Zaraz po wojnie również Jan powrócił szczęśliwie z robót przymusowych w Niemczech. Wszyscy potomkowie Józefy i Piotra Kozakiewiczów pozakładali rodziny. Do Polski wróciła też córka Stanisława Kluzek z mężem Franciszkiem i trzema synami. Ich los podwójnie oszczędził: mężowi Stanisławy udało się wykupić przed zesłaniem, pozostali więc na swoim gospodarstwie, sami wśród Ukraińców, ale starali się, jak do tej pory, żyć z nimi w zgodzie. Pewna starsza Ukrainka przychodziła do Stanisławy i pomagała przy dzieciach. Na pewno otrzymywała za to wynagrodzenie, ale o jej ludzkim podejściu do Polaków przemawia fakt, że dzieci Stanisławy mówiły do

Ukrainki „babciu”. Dzięki tej kobiecie los drugi raz był łaskawy dla rodziny Kluzków. W sierpniową niedzielę 1943 roku, gdy rano wybierali się do kościoła, wpadła do nich ta właśnie Ukrainka z rozpaczliwym krzykiem: „Uciekajcie! Bulbowcy na Was idą! Są już we wsi!” Nie trzeba było dwa razy powtarzać tej przerażającej wieści. Franciszek Kluzek chwycił na ręce dwóch kilkuletnich synów a Stanisława becik z trzecim maleństwem i tak jak stali, uciekli do lasu. Dzięki dobrej Ukraince ocalili życie. W lesie dołączyli do oddziału partyzantów im. S. Kościuszki. Franciszek razem z siostrą Stanisławą – Leokadią i jej mężem Adamem Borowskim – działali w partyzantce czynnie. Stanisława z małymi dziećmi przechowała się przy koczującym oddziale. Po wojnie rodzeństwo Kozakiewiczów często się odwiedzało i pomagało sobie wzajemnie. Niestety, moja schorowana i wycieńczona fizycznie, a przede wszystkim psychicznie, mama nie cieszyła się długo życiem w wolnej Polsce. Odeszła z tego świata 15 stycznia 1956 roku mając zaledwie 53 lata. Pozostałe jej rodzeństwo dożyło sędziwego wieku. Wszyscy zostali wielokrotnie odznaczeni za zasługi wojenne, za walkę zarówno na froncie jak i w partyzantce.

Miłość

8 lutego 1953 roku ożeniłem się z wspaniałą, piękną i mądrą kobietą, Marią Grylakówną, od urodzenia zwaną przez wszystkich Manią. Przez 55 lat stanowiliśmy szczęśliwą parę. Myślę, że to dlatego, że ze swoim bagażem ciężkich doświadczeń oboje mieliśmy świadomość, co jest najważniejsze w życiu. Mania również urodziła się na Kresach Rzeczypospolitej, i tak jak i ja została zesłana 10 lutego 1940 roku na Sybir. Jej rodzina przeszła jeszcze większe piekło niż my w Joźmie. Pomimo upływu lat Mania nie była w stanie mówić o swoich przejściach na zesłaniu. Każda próba wspomnień wywoływała u niej płacz i nieprzespaną noc. Dziś nie ma już Mani wśród nas, odeszła 22 maja 2010 roku. Jednak ze skrawków i okrucich rozmów udało się odtworzyć choć maleńką namiastkę jej przeżyć. Przeżycia te przelejemy na papier, oddając cześć Mani i jej najbliższym.

Maria Grylak, nazywana w rodzinie Manią, urodziła się 12 stycznia 1933 roku w polskiej osadzie Krasnymstaw, w parafii Dziewiątkowice, powiat Słonim, województwo Nowogródek. Jej rodzicami byli Zofia z domu Gębska i Stanisław Grylak, oboje pochodzący spod Radomia. Gdy Polska odzyskała niepodległość, rodzice Zofii, Marianna i Andrzej Gębscy, jak i rodzice Stanisława, Tekla i Adam Grylakowie, zdecydowali się wyjechać na Kresy, właśnie do Krasnegostawu. Pod Radomiem był głód ziemi, a na terenach wschodnich, gdzie tworzyła się nowa Polska, miało być lepsze życie. Gębscy i Grylakowie nie bali się pracy. Jedni i drudzy posiadali mnogość talentów, które pozwalały żyć dostatnio, nawet przy licznych rodzinach. Gębscy byli rodzicami czterech synów i trzech córek, zaś Grylakowie mogli się pochwalić czterema synami. W rodzinie Gębskich wszyscy mężczyźni byli znanymi na okolicę stolarzami, kowalami, dekarzami, szewcami, ba! nawet muzykantami na weselach, czy zabawach. Kobiety słynęły z artystycznego tkactwa, malowania, ozdabiania domów, szycia, oraz robótek ręcznych: wyszywania, haftowania, robót na drutach. Zarówno pod Radomiem, jak i w Krasnymstawie były to zdolności bardzo pożądane.

Grylakowie byli doskonałymi gospodarzami, a ich kobiety bardzo smacznie gotowały na weselach. Zaś na Kresach Tekla i Adam zajmowali się mieleniem ziarna na kaszę, produktu stanowiącego wówczas główną podstawę żywienia.

Krasnymstaw był małą osadą zbudowaną na ziemiach należących do dziedzica Olgierda Śliźnia, adiutanta generała Andersa. Otoczenie wsi, w której Mania Grylak przyszła na świat i spędziła wczesne dzieciństwo, było piękne: spokojne lasy, łąki z mnóstwem pachnących kwiatów i ziół, stawy pełne żab kumkających letnimi wieczorami. Do kościoła chodziło się do Dziewiątkowicz, zaś na zakupy do Słonima. Jeżdżono zimą saniami, a latem wozem na drewnianych kołach. Tak się szczęśliwie złożyło, że najbliższymi sąsiadami rodzinnego domu małej Mani byli, wspomniani wcześniej dziadkowie, Marianna i Andrzej Gębscy oraz Tekla i Adam Grylakowie, oraz wujostwo, Franciszek i Rozalia Gębscy z dziećmi: Heńkiem, Jankiem i Andzią, Katarzyna i Józef Chołuj z Rysiem, Mietkiem i Danusią, Marianna i Jan Filipow z Krysią, Heniusiem i Halinką, Józef Gębski z żoną Jadwigą, Waclaw i Janina Gębscy z Danusią i Heniem, Helena i Józef Zielińscy ze Stasią i Marysią. Często w odwiedziny przyjeżdżał z Radomia Jan Gębski, najmłodszy syn Marianny i Andrzeja.

Ze strony rodziny Grylaków, oprócz dziadków, mała Mania przebywała co dzień w towarzystwie stryjka Jana i stryjenki Heleny oraz ich malutkiej córeczki Mani, a także stryjka Konstantego.

W Krasnymstawie każda rodzina miała drewniany dom, zbudowany przez Andrzeja Gębskiego przy współudziale jego synów. Mimo skromnych warunków życia, Mania pamięta beztróskę, która towarzyszyła jej w dzieciństwie i radość podczas wspólnych zabaw ze wszystkimi dziećmi z kuzynostwa. 15 stycznia 1935 roku przyszła na świat Anna, młodsza siostra Mani, zwana przez wszystkich Andzią. W miarę jak dziewczynki rosły, zaczęły wykazywać się niezwykłą pamięcią. Wystarczyło, że raz usłyszały wiersz, czy piosenkę, a natychmiast obie potrafiły bezbłędnie powtórzyć każde słowo. Podczas rodzinnych spotkań stawiano je na krzesłach, a one śpiewały piosenki i deklamowały wiersze, nawet najdłuższe. Ich

rodzice, Zofia i Stanisław, byli z córek bardzo dumni. „Dziewczynki Grylakowe” – jak o nich mówiono – były śliczne niczym laleczki. Zawsze wystrojone w identyczne sukienki, które własnoręcznie szyła im mama. Mania, czarniutka, była bardziej nieśmiała, natomiast Andzia, blondyneczka, chociaż młodsza, była odważna, a przy tym, jak na tak młody wiek, bardzo poważna.

Wybuch II wojny światowej przekreślił szczęśliwe dzieciństwo Mani. Tu i ówdzie słyszało się głosy, że to koniec panowania Polaków na ziemiach wschodnich, że to koniec Polski. Jednak jeszcze przez pewien czas w Krasnymstawie życie szło pozornie spokojnym torem. Po jesieni nadeszła sroga, bardzo mroźna zima.

Dnia 10 lutego 1940 roku o godz. 4.20 wszyscy Polacy w Krasnymstawie zostali obudzeni głośnym waleniem kolbami karabinowymi w drzwi i krzykiem: „Zdzieś sowieckoją właść, otwieraj dwieri!” Do domu Zofii i Stanisława Grylaków wpadają trzech funkcjonariusze: sołtys, wojskowy z karabinem i bagnetem gotowym do zadania ciosu, oraz cywil, przedstawiciel NKWD. Stanisław zostaje oddzielony od rodziny i trzymany pod bronią z rękami podniesionymi do góry, z twarzą obróconą do ściany. Pod groźbą zastrzelenia nie wolno mu ruszyć się z miejsca. W całym domu następuje szaleńcza rewizja w poszukiwaniu broni. Przeszukujący rozwalają piec i łóżko. Potem zostaje odczytany wyrok: wysiedlenie w inne miejsce. Celu podróży nie podano. Grylakowie dostają jedną godzinę na spakowanie się. Można wziąć ze sobą tylko rzeczy osobiste, kilka garnków i pościel. Taki sam scenariusz powtórzył się w każdym domu Polaków, u wszystkich z rodziny Gębskich. Sytuacja Zofii była najbardziej tragiczna. 3 stycznia 1940 roku urodziła trzecie dziecko – upragnionego synka Janka. Chłopczyk w dniu zesłania miał zaledwie 5 tygodni, a Zofia była jeszcze w połogu. W sąsiednim domu 14-letnia Krysia Filipow, córka Marianny i Jana, kuzynka Mani, podbiegła do okna i przez mały otwór w oszronionej szybie zobaczyła, że do każdego domu należącego do jej rodziny podjeżdżają sanie z żołdatami. Na płacz mamy: „Nie zabierajcie nas od rodziny!”, słyszy odpowiedź żołnierza: „Wszyscy zostaniecie wywiezieni i wasz baćko też!” Faktycznie, wiekowi dziadkowie Gębscy także muszą opuścić swój dom. Również Jan Grylak z żoną i małą córką zostają zesłani. Kobiety z małymi, płaczącymi dziećmi u boku przechodzą gehennę. Jak w takiej sytuacji pakować rzeczy? Co zabrać? Jeśli pilnujący żołnierz był litościwy, bo sam miał małe dzieci, to szepnął, by brać garnki, buty, dzieci ciepło ubrać, wziąć dużo jedzenia. Tak było u Franciszka Gębskiego – Białorusin podpowiedział mu: „Franek, bieri wsio, bo już tu nie wrócisz”. Przy niemym zezwoleniu żołnierzy Franciszek z żoną pakowali wszystko, co zdołali upchać do sań. Niespełna 7-letnia Ania, najmłodsza z dzieci Franciszka, obejmowała się za siebie, gdy opuszczali próg domu, zobaczyła tylko puste łóżka i nieliczne meble. Jej rodzice starali się niczego nie zostawić. Już niedługo przekonają się, jakie to będzie miało dla nich ogromne znaczenie. Dzięki handlowi wymiennemu, rzeczy zabrane z domu nieraz uratują ich od śmierci głodowej.

Co bardzo dziwne, deportacja ominęła dziadków Mani, Teklę i Adama Grylaków i ich 20-letniego syna Kostka. Nie było ich na liście. Jak potem się okazało, od zsyłki uratowało ich posiadanie małego młyna i umiejętność robienia kaszy – mieli być jeszcze przydatni nowej władzy.

Po spakowaniu dobytku trzeba było wyjść z domu na mróz, posadzić dzieci na saniach, zawinąć je w kołdry przed zimnem. Nastrój przygnębiający, ale na nic zda się płacz. Każdy nerwowo spogląda na inne sanie, każdy chce zobaczyć, kogo jeszcze wywożą.

O godzinie 5.30 wszystkie rodziny wyruszyły zaprzęgami podstawionymi przez sowieckich żołnierzy. Wioska tonie w zaspach śniegu. Mróz tego ranka był straszny, temperatura spadała do minus 40 stopni Celsjusza. Psy ujadają żałośnie, ale chowają się wystraszone, bo sowieccy żołnierze strzelają do nich bez litości. Opatulone dzieci nie mają siły poruszyć się. Kobiety płaczą w głoś. Mężczyźni ocierają łzy. Mania widzi swój dom, a później całą osadę Krasnymstaw, jak robi się coraz mniejsza i mniejsza, by w końcu rozmyć się w śnieżnej bieli...

Jest wczesny ranek, więc małe dzieci usypiają z płaczu. Starsze, w tym mądra Mania, patrzą uważnie, próbują na zawsze utrwalić pod powiekami ten obraz, bo rozumieją, że wydarzyła się rzecz straszna. Że bez troskie i szczęśliwe dzieciństwo w Krasnymstawie zakończyło się już na zawsze.

Gdy dojechali do Słonima, żołnierze skierowali ich na stację kolejową. Przed wieczorem Rosjanie zaczęli ładować ludzi do wagonów towarowych. Do każdego upychali po około 80 osób. Rodzina Grylaków: Mania, Andzia, Stanisław i Zofia z noworodkiem Jankiem przy piersi oraz Franciszek Gębski z żoną Rozalią i trojgiem dzieci trafiają do wagonu po soli. Były też wagony, w których wcześniej wożono węgiel. Zapelnienie wszystkich wagonów trwało długo. Gdy wagon, w którym znajduje się rodzina Mani, jest gotowy do odjazdu, żołnierze rosyjscy zamykają drzwi i ryglują je od zewnątrz. Siedzący w wagonie Polacy słyszą straszny odgłos: trzask zamykanej zasuwki. Od tej chwili nie ma już odwrotu. Kto znalazł się w wagonie i przeżyje podróż, ten na długie lata zostanie więźniem Związku Sowieckiego. Ciało tego, kto umrze w czasie gehenny podróży, spocznie wzdłuż torów na śniegu. Moment, gdy pociąg rusza, wywołuje w ludziach straszny ból, żal, płacz. Mieszkańcy Słonima jeszcze po latach będą szlochać na wspomnienie o długim transporcie z wysiedlonymi Polakami... Deportowani do końca mieli nadzieję, że pojedą na zachód. Gdy ruszyli na wschód, z daleka słychać było płacz dobiegający z kilkukilometrowego pociągu...

W Baranowiczach skład przestawiono na szerokie tory, a potem trasa wiedzie już cały czas na północny-wschód.

W wagonie panowało przenikliwe zimno. Na środku stał żelazny piecyk, który dawał bardzo nikłe ciepło. W kącie była wycięta dziura służąca za ubikację. Na górze były po dwie prycze, posadzono na nich kobiety z małymi dziećmi. Początkowo była nadzieja, że tam będzie cieplej. Jednak rzeczywistość okazała się okrutna. Na pryczach było najgorzej, ponieważ z otworu na ubikację ciągnął okropny smród i ziąb. Żeby mieć dziewczynki koło siebie, ojciec posadził je przy żonie na pryczy. Mania wciśnięta przy oknie, a obok wtulona w nią Andzia. Prycza to gołe deski, Zofia próbuje czymś je pościelić, czymś przykryć dzieci. Janka trzyma cały czas przy piersi, ogrzewa go swoim ciałem. Gorzej z zapewnieniem ciepła dziewczynkom. Na górze z każdej strony wieje, lodowate są ściany i dach pociągu. Na małym, zakratowanym okienku szron. Pewnej nocy mróz chwycił tak silny, że Mani, która spała od ściany, włosy przymarzły do ściany pociągu, nie mogła się poruszyć. Bardzo dzielnie zniosła tę straszną chwilę, jednak to wydarzenie okazało się traumą, której nie zapomniała do końca życia. Wszyscy w wagonach spali w tym, w co byli ubrani. W nocy starali się leżeć, zasnąć, w dzień siedzieli na tych samych miejscach. Zaduch niemytych ciał i niezmiennych ubrań stawał się nie do zniesienia. Ludziom dokuczał ścisk, brak świeżego powietrza, ciągły płacz dzieci. Trudno opisać, co przeżyła Zofia sama będąc krótko po porodzie i mając pod swoją opieką niemowlę oraz dwie kilkuletnie dziewczynki. Martwiła się, czy wystarczy jej pokarmu dla malutkiego synka? Jak zmienić chłopcu pieluszkę? Jak ją wysuszyć? O praniu nie było nawet mowy. Jak utulić dziecko płaczące z głodu, zimna i ogólnej niewygody? Deportowani do pewnego momentu jedli to, co zdołali zabrać z domu. Jednak potem mizerne zapasy skończyły się. Pociąg stawał, co kilka dni. Wydawano lichy suchy prowiant, a do picia tylko „kipiatok”. Nigdy pod dostatkiem. Nawet, gdy pozwolono na postojach nabrać więcej wody do wagonu, to potem pociąg jakby specjalnie ruszał z takim wstrząsem, że ludzie upadali na podłogę lub wpadali na siebie, a wszelkie zapasy wody wylewały się. Podczas postoju na stacjach tylko wyznaczeni ludzie mogli wychodzić po pożywienie dla reszty. Sowieccy żołnierze z karabinami gotowymi do strzału zawsze chodzili wzdłuż peronu, pilnując, by nikt nie uciekł. Nawet, jeśli na stacjach byli jacyś cywile, nie wolno było z nimi rozmawiać. Po zjedzeniu wszystkich zapasów, ludziom zajrzało w oczy głód. Śmierć zaczęła zabierać towarzyszy drogi. Na każdym postoju kazano wynosić zmarłych i układać ich przy torach. Nieszczęśni pozostali na tych stacjach na zawsze.

Oprócz jedzenia brakowało też opału i wody, którą Polacy próbowali uzyskać z topienia śniegu. W wagonie ciągle panował półmrok. Mania całe dni patrzyła przez kraty w okienku na mijające krajobrazy, aż znużona zasypiała. Pociąg często stawał w szczerym polu na długi postój. Nigdy nie było wiadomo, kiedy znowu ruszy. Zofia i Stanisław, zrozpaczeni swą bezradnością, musieli słuchać próśb dziewczynek o jedzenie, o wodę. Po przeszło trzech tygodniach pociąg wjechał na stację Morżenga, położoną około 80 km od Wołody. Kazano ludziom wysiadać. Dalsza podróż miała odbyć się saniami. Ciągłe nie informowano Polaków dokąd jadą. Konwój około stu sań nadal pilnowany był przez żołnierzy z bronią, chociaż niewyobrażalne było, by ktoś spróbował tu ucieczki. Matki z małymi dziećmi i ludzie starzy mogli jechać, reszta szła za saniami brnąc w zaspach śniegu. Wokół był tylko ciemny, gęsty las. Zmarli byli po prostu zostawiani na śniegu przy drodze. Wszystkich wykańczało strasne zimno i rozpacz swego położenia. Powietrze przy 40 stopniowym mrozie zatykało oddech, a biały śnieg oślepiał. Zaspasy w śniegu były tak wielkie, że nie sposób było iść. A na sankach było miejsce tylko dla woźnicy, kobiet i małych dzieci. Mężczyźni ze starszymi dziećmi musieli iść pieszo za saniami. Czasem woźnica litował się nad losem dzieci i wówczas, gdy nikt z Rosjan nie widział, schodził z sań i pozwalał jechać wszystkim dzieciom. Czasem nakrywał ich swoim kożuchem, albo dawał rady, by trochę pobiegały, gdyż w przeciwnym razie odmrożą nogi. Postoje zarządzano późnymi wieczorami. Rosjanie mieszkający na posiołkach mieli obowiązek przyjmować na noc Polaków. Mimo zakazu dyskusji z Polakami, rozmowy odbywały się, gdy nikt nie widział. Zesłańcy polscy zauważyli, że prości Rosjanie współczują przybyszom z daleka. Szczególnie kobiety starały się pomóc matkom z dziećmi. Tam, gdzie Zofia trafiła, gospodyni zawsze nagrzała trochę wody, by wykąpać Janka. Ścielono szybko ławy, by Mania i Andzia mogły się przespać. Wczesnym rankiem powtarzała się gehenna całodziennego podróży. Podczas każdego dnia jechali, wieczorem szukali noclegów w położonych rzadko osadach. Prości Rosjanie byli dobrymi ludźmi. Litowali się nad nieszczęśnikami, których przyjmowali pod swój skromny dach. Podczas jednej z takich nocy w rodzinie Marianny i Jana Filipow wydarzyła się tragedia. Umarła najmłodsza córka, Halinka. Niedomagająca już w pociągu, przemarzła, miała wysoką gorączkę i ciągle prosiła o picie. Jej mama, Marianna, odejmowała sobie wody od ust, by napoić Halinkę. Jednak nie było gdzie zagrząć tej wody – Halinka piła łapczywie zimny płyn. Nieleczona choroba rozwijała się coraz bardziej, aż w końcu śmierć zabrała dziecko. Płacząc wniebogłosem Marianna w nocy szła ręcznie ostatnią sukienkę dla swojej córeczki. Poświęciła na to białe prześcieradło, jedno z, niewielu, które udało jej się spakować jeszcze w domu. Gdy rano zrozpaczeni rodzice chcieli sami pochować zmarłą, konwojujący Sowietci orzekli, że to niemożliwe, że trzeba natychmiast wyruszać w dalszą drogę, a dziecko pochowa rodzina, u której nocowali. Poczciwy Rosjanin obiecał, że pochowa zmarłe dziecko. Marianna i Jan ze ściśniętym sercem

zostawili Halinkę. Na skrawku papieru Marianna zapisała nazwę osady, w której spoczęło ciało jej córeczki. W przyszłości do końca swoich dni nieszczęśni zesłańcy będą się zastanawiali, czy Halinka została godnie pochowana. Każdy, bowiem miał w pamięci umarłych w pociągu, których wynoszono na stacjach i których ciała składano wzdłuż torów. Czy ich ktoś pochował? Mama Mani, Zofia Grylak, widząc rozpacz po stracie Halinki, sama, mając malutkiego synka, rozpacziała podwójnie, bo mówiono, że jej dziecko również może nie przeżyć trudów drogi. Wtedy powiedziała sobie, że jeśli Janek umrze, to ona nikomu się do tego nie przyzna. Nie pozwoli zostawić go gdzieś u obcych ludzi. Będzie wiozła i tuliła do piersi zimne ciało, żeby nikt nie zorientował się, że dziecko nie żyje. Powiezie go ze sobą do końca, tam gdzie nastąpi kres jej podróży. Prawdę powiedziawszy, Zofia nigdy nie wybaczyła siostrze, że zostawiła ciało Halinki u Rosjan. Natomiast Marianna będzie ze łzami w oczach zawsze na to odpowiadać: „Myśmy byli zrozpaczeni i załamani, a po tej nocy byliśmy pewni, że my też wszyscy pomrzemy. Dlatego zostawiliśmy Halinkę”.

Z każdym świtem Polacy musieli wsiadać na sanie i jechać dalej, aż oddalili się ponad 200 km od Wołody. Na tych terenach wsie położone już były coraz rzadziej. Zasy śnieżne były tak wielkie, że dalsza podróż łądem stała się niemożliwa. Kiedy droga przestała być przejezdna, woźnice skierowali konie na zamrzniętą rzekę Suchonę. Zesłańcy jechali po lodzie, a wokół rozciągała się złowroga, straszna, ciemna, nieprzenikniona tajga. Gdy zbliżano się w rejon Toćmy, zaczęło się rozłączanie sań. Czoło konwoju skierowano w stronę miasta, zaś reszta pojechała dalej po lodzie. W tej części sań, które odłączono, była Mania Grylak ze swoją rodziną. Wszyscy Polacy zaczęli płakać. Ci, którzy zjechali z Suchony, i ci, którzy musieli jechać dalej po lodzie, długo odwracali głowy, by jeszcze widzieć oddalające się sanie. Postaci stawały się mniejsze i mniejsze, aż zniknęły całkowicie z oczu. Wszystkim łyzy płynęły po policzkach. Nikt nie wiedział, jaki czeka go los.

Z Toćmy drogi praktycznie nie istniały. Sanie jechały tunelem wzdłuż ogromnych zasp. Na noc znów zatrzymywali się w małych osadach. Podczas jednego takiego postoju malutki Janek dostał bardzo wysokiej gorączki. Dziwny paraliż powyginał chudziutkie, nędzne ciało niemowlęcia. Dziecko przestało nawet płakać, nie reagowało na nic. Rodzice, Zofia i Stanisław, wpadli w panikę. Przerazili się, że Janek umrze. Rosjanie, u których się zatrzymali, spoglądali ze smutkiem na tę dramatyczną scenę. Żal im było młodej polskiej rodziny, którą okrutny los tutaj przywiódł. Widać było, że chłopczyk coraz bardziej zapadał się w siebie. „To agonია, on umiera”, usłyszała Zofia. Wpadła w matczyną histerię, instynktownie zaczęła rozcierać sztywniejące ciało, chuchać na nie, chciała za wszelką cenę przywrócić krążenie. Wtedy Rosjanka, u której nocowała rodzina Grylaków, wyszła z domu, a gdy wróciła, podeszła z kubeczkiem jakiegoś płynu i powoli, kropla po kropli, łyżeczką podawała chłopcu do buzi. Trwało to dość długo. Nagle stał się cud, sine ciało chłopca jakby się trochę zaróżowiło, oddech stał się głębszy. Czy to spowodował masaż, czy też ciepły i życiodajny płyn w brzuszku dziecka, w każdym razie chłopiec pokonał własną śmierć. Zofia czuwała przy Janku całą noc, na szczęście dreszcze ustały, a dziecko w końcu zasnęło spokojniejszym snem. Rodzice płakali ze szczęścia, najgorsza noc minęła.

W końcu przyszedł dzień w podróży, gdy sanie minęły mosty na rzekach Woźbał i Sonduga i wjechały na posesję Krutaja Osyp. Od dnia wysiedlenia z Krasnegostawu minęło ponad 40 dni. Zaczęło się osiedlanie w miejscu zesłania. W tym małym, schowanym wśród tajgi posesi, zamieszkali seniorzy Marianna i Andrzej Gębscy, ich córki Zofia, Katarzyna, Helena oraz synowie Franciszek i Wacław z rodzinami. Rozdzielono ich do drewnianych baraków, których jedynym wyposażeniem były nędzne prycze i lichy grzejące piecyki. Ale po gehennie podróży była to już namiastka stabilizacji. Krutaja Osyp to posesie położony w bezkresnej tajdze. Miało się tam wrażenie, że dalej nie ma już nic. Stało tam 7 baraków mieszkalnych, stajnie dla koni, magazyn żywności, biuro komendanta, izba lekarska, pralnia i bania. Typowy specposesie, w którym Polacy mieli tylko umrzeć... W czasie mowy powitalnej Polakom nie pozostawiono złudzeń: „Waszej Polski już nie ma i nie będzie, a wy będziecie tu żyć i pracować aż do śmierci”.

Komendant lesopunkt Krutaja Osyp nazywał się Jerofiejew. Nosił krótką broń, ale nie demonstrował jej posiadania. Był to człowiek spokojny, rozważny. Lubił dzieci, chociaż sam ich nie miał. Nie był do Polaków usposobiony wrogo ponad to, co wynikało z jego obowiązków. Podczas przydziału baraków nastąpił tłok. Komendant, widząc Zofię z niemowlęciem, zdecydował, że kobieta z dzieckiem zamieszka w jego biurze do czasu, aż ojciec zagospodaruje rodzinę w baraku. Drewniany barak miał wymiar około 8 na 15 metrów. Razem z Grylakami osadzono 8 rodzin, to jest około 40 ludzi. Wyposażenia nie było żadnego, przez brakujące szyby wpadało zimno. Część ludzi ulokowano w stajniach, tam było przynajmniej cieplej. Pomocnikiem i zastępcą komendanta w Krutoj Osypi był politruk o nazwisku Tukaczow. Miał broń i zawsze ją nosił na widoku. Miał ciężki charakter, potrafił być bardzo dokuczliwy dla polskich jeńców, zarówno dorosłych, jak i dzieci. Wymagał obowiązkowego pozdrowienia ze zdjęciem nakrycia głowy. Karał za uchybienia w stosunku do swojej osoby, dzieciom wymierzał często „szturhańca”.

Natomiast reszta sań, które podążały zamarzniętą Suchoną, dotarła do posesi: Ledzińsk (późniejsza nazwa: Babuszkino), Charino, Obirkowo i Ługoda. Ługoda to lesopunkt, w którego skład

wchodziły podobozy – specposiołki: Swietłoje, Wierchniaja Strojka i Pieredwiżnoje. Najdalej położony był posiołek Kurjanowo. Były to małe osady oddalone od siebie od kilku do kilkudziesięciu kilometrów, w których stało tylko po kilka nędznych baraków niezawierających prawie żadnych sprzętów. Warunki bytowe tragiczne. Zesłańcy staczali ciągle z góry przegraną walkę z przesywającym wiatrem i zimnem. Na domiar złego pod barakowymi deskami gnieździły się ogromne ilości pluskiew. Pomimo, iż posiołki otaczała tajga, nie było słyhać w ogóle śpiewu ptaków. Córka Marianny i Andrzeja Gębskich, Marianna Filipow z mężem Janem i dziećmi ulokowana została w Wierchniej Strojce. Syn Józef Gębski z żoną Jadwigą w Obirkowie. Już następnego dnia po przyjeździe zesłańcy ze wszystkich posiołków musieli rozpocząć pracę. Nie była to jednak zwykła praca dla obcego państwa, ale katorga przy wyrębie lasu oraz przy spławie drewna. Do pracy musieli stawić się wszyscy dorośli i kilkunastoletnia młodzież. Dzieci i starsi ludzie nie pracowali. Początkowo dzienny przydział chleba wynosił ok. 600 gramów. Później norma została zwiększona o 200 gramów. Dwa razy dziennie zesłańcy, którzy wypełniali normy, mogli liczyć za zupełną. Pozostali mieli obniżane racje żywnościowe w zależności od ilości ściętego drewna. Natomiast ci, którzy nie nadawali się do pracy, otrzymywali tylko 150 gramów chleba dziennie. Zesłańcy przez 6 dni w tygodniu z minimalnym wyżywieniem, w lichym ubraniu, ścinali toporami i ręcznymi piłami olbrzymie sosny. Ścinanie drzew było okupione ogromnym wysiłkiem. Nawet kilkaset gramów chleba nigdy nie wystarczało, by ludzie mogli się najęść i nabrać siły na następny roboczy dzień. Jeszcze większy głód towarzyszył tym, którzy nie pracowali. Katorżnicza praca, przeraźliwe zimno, choroby i tragiczne warunki mieszkaniowe powodowały, że stopniowo wszyscy upadali na zdrowiu. Ludzie zaczęli masowo umierać z głodu. Codziennym celem każdego zesłańca było tylko jedno: znaleźć coś do jedzenia. Latem przeczesywano okolicę w poszukiwaniu pokrzyw, liści lipy, lebiody, jagód, nawet kory z brzozy. Starano się łowić ryby. Jesienią wszyscy chodzili na grzyby. Niestety wielu zmarło na skutek zatrucia. Najgorzej było zimą i wczesną wiosną. Wtedy zdobycie jakiegokolwiek pożywienia graniczyło z cudem. Ludzie chodzili z saneczkami na żebry. Czasem na posiołkach padł koń. Mięso koni uratowało od śmierci głodowej niejednego zesłańca. Osłabieni, głodni i schorowani ludzie często ulegali wypadkom. Na posiołkowych cmentarzach, położonych przeważnie na polanie za barakami, spoczęło wielu Polaków. Śmiertelne żniwo zbierały epidemie tyfusu i gruźlicy. Osłabione organizmy nie były w stanie zwalczyć chorób. Zараżenie się tyfusem oznaczało wyrok śmierci. Lekarz nie miał żadnych leków, leczyl jedynie wywarami z ziół i zaleceniem, by pójść do łaźni, ewentualnie pozostać dzień w posiołku. Większą część rodziny Gębskich, która osadzona została w Krutoj Osypi, mogła wspierać się wzajemnie. Gdy średnie pokolenie od świtu do nocy pracowało w lesie, małe dzieci pozostawały pod opieką dziadków Marianny i Andrzeja. Gorzej mieli Marianna i Jan Filipowie w Wierchniej Strojce – musieli liczyć tylko na siebie. Ich czternastoletnia córka Krysia chodziła z rodzicami do tajgi. Jednak mimo szczerych chęci, by zarobić na dodatkowy chleb, dziewczynka nie mogła podjąć ciężkiego wysiłku. Syn Heniusz pozostawał samopas w osadzie tak, jak wiele innych dzieci. Po śmierci córki Halinki, Marianna i Jan kosztem swojego zdrowia starali się, by okrutny los nie zabrał im już żadnego dziecka.

Natomiast w posiołku Obirkowo zamieszkał Józef Gębski z żoną Jadwigą. Na początku nie mieli dzieci, pracowali tylko dla siebie. Z czasem jednak Jadwiga urodziła synka Kazika. Józef wiedział, że teraz życie żony i dziecka leży w jego rękach. Razem z nim w Obirkowie przebywał przyjaciel z Krasnegostawu, Antek Seweryn. Był to człowiek obdarzony niezwykłą intuicją, sprytem, pomysłowością i umiejętnością radzenia sobie nawet w największej opresji. A przy tym, tak jak i Józef Gębski, potrafił zrobić wszystko, był tak zwaną „złotą rączką”. Józef do końca życia będzie chwalił osobowość Antka, zawsze będzie powtarzał, że on i jego rodzina przeżyli Sybir dzięki sprytowi Antka Seweryna. Żeby zarobić na większy przydział chleba, Józef z Antkiem zgłaszali się wszędzie do pracy. Kiedy trzeba było kuć konie, Józef z Antkiem zgłaszali się jako kowale. Kiedy potrzebni byli stolarze, oni byli stolarzami. Gdy ktoś umarł, Gębski i Seweryn zbijali trumny i chowali ludzi. Mottem zesłańca Antoniego Seweryna było: „Oszukać system sowiecki i przeżyć”. Józef bardzo się z Antkiem przyjaźnił. Razem pracowali przy ścinie drzewa. Seweryn szybko zauważył, że nikt nie liczy drewna po całodziennym odbiorze. Tylko co jakiś czas przychodziła Rosjanka, przybijała pieczętkę na pniu i notowała wynik w kajecie. Wówczas Józef z Antkiem odcinali wąski plasterk pnia razem z tą pieczętką, palili go w ognisku, a kłoda zostawała do następnego odbioru. Tak samo robili z pociętymi przez siebie deskami. Podobno potrafili to samo drewno oddać trzy razy. Dzięki temu mieli rekordowe wyniki i zostali „stachanowcami”, przez co dostawali dodatkowe porcje żywnościowe i wódkę. Wódki nie pili, tylko nacierali nią siebie i swoje rodziny. Do nacierania stosowali też naftę. Prawdopodobnie dlatego nie zachorowali na tyfus. Kiedy w ich baraku i w sąsiednich kwaterach wszyscy umarli na tyfus, przeżyły tylko rodziny Józefa i Antoniego. Z czasem ich pomysły były coraz lepsze, śmielsze, przynoszące korzyści. Rodzina Józefa i Antka nie cierpiała już takiej nędzy i głodu. Dzięki wyczonemu sprytowi Józefowi udało się kupić kozę. A powszechnie wiadomo, że to zwierzę mało je, a daje dużo mleka. Hodując kozę, Józef już miał pewność, że żona i synek Kaziu nie umrą z głodu – uratuje ich życiodajne tłuste kozie mleko. Natomiast żeby ustrzec małego Kazika przed pluskwami i pchłami, Józef zrobił kołyskę w formie hamaka i powiesił ją na stalowym drucie pod sufitem.

Tylko tak mógł zapewnić dziecku względny spokój. Mały Kaziu był jednym z nielicznych dzieci urodzonych w Obirkowie, które przeżyły zesłanie.

Lata zesłania na wszystkich posiołkach wyglądały podobnie. Polacy musieli przede wszystkim pracować na rzecz Związku Radzieckiego. Od 12-letnich dzieci po zdrowych, starszych ludzi. Praca była przymusowa, bez ograniczenia godzin. Od października do maja przy temperaturze minus 40 stopni mężczyźni pracowali przy wyrębie drzew w lesie, przy zwózce drewna na zamrożoną rzekę oraz układaniu go w zestawy do spławu. Kobiety w tym czasie pracowały w stajni. Jednak głównym zajęciem była tak zwana „rozmiętka”. Jest to nieustanna praca przy usuwaniu śniegu w celu utrzymania przejezdności dróg z lasu, prowadzących przez osadę, do rzeki i między barakami. Latem mężczyźni oprócz ścińki drzewa pracowali przy sianokosach, kobiety na równi z nimi. Było to bardzo uciążliwe zajęcie, gdyż panowały z kolei upały plus 30 stopni, roiło się od owadów, głównie małych bardzo kąsających muszek zwanych meszkami. Trzeba było także uważać na żmije. By zdobyć pożywienie, w każdej pracy trzeba było wyrobić tzw. „normę”, a było to trudne do osiągnięcia. Zdaniem, które Polacy słyszeli codziennie było: „Nie rabotajesz, nie kuszysz”. Dopóki Polacy mieli jeszcze ze sobą to, co zdołali zabrać z domu – np. odzież, garnki – stosowali handel wymienny z miejscową ludnością rosyjską. Po napaści Niemiec na Związek Radziecki handel został zakazany, a na domiar złego normy żywieniowe drastycznie zmniejszono. Aby całkowicie nie stracić nadziei i sił życiowych oraz nie poddać się psychicznie, Polacy bronili się instynktownie. Swoistą formą utrzymania polskości były opowiadania o Polsce i wspólne śpiewy. Było to bardzo ważne, szczególnie dla dzieci.

W Wołogodzkiej Oblast, jak i we wszystkich miejscach zsyłek, śmierć zabierała najpierw małe dzieci i mężczyzn. Wszyscy rodzice z rodziny Gębskich drżeli o swoje potomstwo, strzegli je przez mrozem i sami niedoładając, karmili z trudem pozyskanym pożywieniem. Jednak nawet najlepsze chęci nie zdały się na nic w tak nieludzkich warunkach. W Krutoj Osypi najpierw umarł Heniu, 3-miesięczny synek Janiny i Waclawa Gębskich. W tym samym czasie umarło jeszcze dwoje małych dzieci. Zrozpaczeni rodzice pochowali swe dzieci na skraju posiołka, na polanie pod laskiem brzoźowym, przy drodze w kierunku na Woźbał. Potem śmierć będzie coraz częściej przychodzić po następne ofiary. Szybko powstał cmentarz, w środkowej części osady, pod niewysokimi sosnami za barakami. W rodzinie Zofii i Stanisława Grylaków sytuacja przez cały czas była bardzo ciężka. Zofia po porodzie nie miała sił, by iść na cały dzień do pracy. Stanisław, sam słabego zdrowia, nie był w stanie zarobić tyle, by zdobyć odpowiednią ilość pożywienia dla wszystkich. Głodowali strasznie. Mania i Andzia, niegdyś śliczne, wesole, rozszczębotane dziewczynki, stały się własnymi cieniami. Smutne, ciche, wymizerowane. Z czasem Zofia zostawia Janka pod opieką i pracuje wraz z innymi kobietami. Mania idzie w końcu do posiołkowej szkoły, nauka odbywa się w języku rosyjskim. Nauczycielka Rosjanka, sroga dla dorosłych zesłańców, okazuje się jednak być życzliwą dla polskich dzieci. Z początku wtłaczała im sowiecką doktrynę i powtarzała stale: „Waszej Polszy uż nie budiet”. Nie zważając na te słowa jedna z polskich uczennic, Tenia Pietranik, pewnego dnia zdobyła się na odwagę, wstała, pokazała ręką wysoko w górę i powiedziała: „Ooo! Nasza Polska jeszcze taaka budiet!” Nauczycielka bardzo szybko orientuje się, jakim zdolnym dzieckiem jest Mania Grylakówna. Pomiedzy zahukaną przez dramatyczne okoliczności dziewczynką a młodą nauczycielką powstaje nić porozumienia. Pani stara się przekazać pojętnemu dziecku jak najwięcej wiadomości szkolnych. Trzeba przyznać, że w chęci zdobycia wiedzy inne dzieci też nie pozostawały w tyle. Rosyjska nauczycielka będzie jedną z niewielu osób, które mali zesłańcy będą potem wspominać z sympatią. W roku 1941 nie wytrzymałszy głodu, zniewolenia, nędzy i katorgi zesłania umierają seniorzy rodziny Gębskich, Marianna i Andrzej. Andrzej, przedwojenny bogaty gospodarz, nigdy nie pogodził się z zesłaniem. Popadł w pewien rodzaj obłędu, cały czas był pod wpływem wysiedlenia – spał w ubraniu, bo każdej chwili oczekiwał powrotu do Polski... Marianna, mieszkając jeszcze w swoim domu w Krasnymstawie, zawsze wszystkim powtarzała, że gdy umrze, chce by pochować ją w rodzinnych stronach, koło Radomia. Nieszczęsna, nie wiedziała, że los obejdzie się z nią tak okrutnie. Na Sybirze straciła cały wigor życia. Zaczęła powtarzać: „Już tu nasi są pochowani, to i ja się z nimi zostanę...”. Zmarła w Krutoj Osypi, w głębokiej tajdze, w Rosji, pochowana na małym cmentarzu dla Polaków – zesłańców, z daleka od Polski i nikt nigdy nie zapali świeczki na jej mogile...

W czerwcu 1941 r. Niemcy zaatakowały Rosję. Fakt ten nie pozostał bez znaczenia dla sytuacji polskich zesłańców. Z jednej strony wymiar był dramatyczny, gdyż władze zwiększyły normy pracy do wykonania przy jednoczesnym zmniejszeniu racji żywnościowych. Głód i nędza egzystencji stają się nie do zniesienia. Odtąd przede wszystkim będzie się liczyć sytuacja rosyjskich żołnierzy na froncie. Każdy wyhodowany plód ziemi, każda wypracowana kopiejka ma być przeznaczona na cele armii sowieckiej. Z drugiej strony, Stalin zmuszony jest do rewizji dotychczasowej polityki. Ogłasza tzw. amnestię dla polskich więźniów przebywających na zesłaniu w Związku Radzieckim. Po porozumieniu generała Sikorskiego z rządem sowieckim, zesłańcy mogli udać się z obozów pracy w daleką i trudną drogę do tworzonej przez Władysława Andersa Armii Polskiej, a z czasem także do Wojska Polskiego pod dowództwem Zygmunta Berlinga. Była to jedyna legalna forma wydostania się z obozu. Wstąpienie w szeregi armii dawało nadzieję na zmianę losu, na zakończenie wojny, a co za tym idzie, na powrót do

Polski. Dlatego mężczyźni zdecydowali się opuścić swoje żony i dzieci. Mieli nadzieję spotkać się po wygranej wojnie w wolnej ojczyźnie. Dużo mężczyzn szło z tą myślą, że wyzwolą swoje rodziny z niewoli Sowietów. Rozstanie z rodziną było wielką tragedią. Do punktu tworzenia wojska w Wołogdzie musieli iść pieszo, wielu umarło już w drodze.

Z rodziny Gębskich od razu do Armii Andersa zgłosił się Jan Filipow, zesłaniec z Wierchniej Strojki, a także Józef Zieliński z Krutoj Osypi. Gdy uformowała się I Dywizja Piechoty im. T. Kościuszki, na wojnę poszli również Józef Gębski, Józef Chołuj, Waclaw Gębski i Jan Grylak. Ten ostatni, nieszczęsny, nie miał już nic do stracenia. W przeciągu półtora miesiąca zmarły mu dwie małe córeczki – Mania i Zosia oraz żona Helena. Dramat tego mężczyzny trudno opisać.

Kobiety, które teraz same pozostały na posesjach, teoretycznie mogły przenosić się w inne miejsce. Zdecydowały się na to Marianna Filipow oraz Helena Zielińska i udały się do Toćmy. Marianna miała już na tyle duże dzieci, że mogła szukać pracy w mieście. Znalazła ją dla siebie i córki Krysi w totiemskim „Lesnotechnikum”. Obie sprzątały, paliły w piecach, stróżowały. Natomiast Helena Zielińska straciła córeczkę Marysię, więc gdy mąż poszedł na front, postanowiła wraz ze starszą córką Stasią, że opuszczą to przeklęte miejsce, jakim jest posesja Krutaja Osyp. Katarzyna Chołuj znalazła pracę w szwalni, ale kilkanaście kilometrów od posesji. Nie mając innego wyjścia, zostawiła dzieci w Krutoj Osypi pod opieką najstarszego synka, 13-letniego Rysia, a sama pracowała w pocie czoła, by zarobić na chleb dla osamotnionych dzieci. Na Rysiu spoczywał podwójny obowiązek: nie dość, że musiał na co dzień zajmować się młodszym rodzeństwem, to jeszcze co kilka dni wyruszał w drogę do mamy, aby przynieść od niej to, co udało się zdobyć czy kupić do jedzenia. W tym czasie młodsze dzieci, Mietek i Danusia pozostawały same w baraku. Brak pożywienia panował wtedy tak wielki, że mimo, iż Katarzyna ciężko pracowała, nie była w stanie zapewnić dzieciom należytego pokarmu. Nieraz biedny Rysiu wracał do baraku ze łzami w oczach, bo jedynym, co mama mogła mu dać, były obierki od ziemniaków. Chłopiec gotował je i karmił rodzeństwo, bo dobrze wiedział, że może nadejść i taki czas, że nie będzie co włożyć do garnuszka. Katarzyna tęskniła bardzo za dziećmi, ale nie miała wyjścia, praca w szwalni to był jedyny sposób, by zdobyć pożywienie. Nawet kosztem rozłąki.

Niestety mama Mani, Zofia Grylak, nie mogła się na to zdobyć. Ojciec Mani, Stanisław, ciężko zachorował. Nie był w stanie ani iść do pracy, ani tym bardziej na front. Ponieważ nie pracował, nie było dla niego racji żywnościowej. Trud wykarmienia małych dzieci i sama szła szukać jakiegokolwiek pracy dla siebie. Najstarsza Mania miała wówczas dziewięć lat, Andzia siedem, a Janek dwa latka. Dramat tego chłopca, który został więźniem Związku Sowieckiego w wieku zaledwie 5 tygodni jest ogromny. Na posesji, ku ogólnemu zdziwieniu, zaczął chodzić, gdy skończył 10 miesięcy. Radość rodziców była wielka. Niestety, gdy nastąpił straszny głód, Janek zapadł na krzywicę. Przestał chodzić, najczęściej leżał, poruszał się tylko czołgając się. Krzywica spowodowana była niedożywieniem i brakiem witaminy D, ale rodzice nie mieli skąd zdobyć lekarstwa. Choroba zdeformowała drobne ciało dziecka. Właściwie to cud, że Janek wciąż żył. W czasie, gdy Zofia jest w pracy, a Stanisław leży chory w łóżku, Mania opiekuje się młodszym rodzeństwem. Niezwykła dojrzałość tej dzielnej 9-letniej dziewczynki jest zdumiewająca. Rozumie sytuację, orientuje się w niej i pomaga rodzicom troskliwie zajmując się niewiele młodszymi od siebie. Stara się siedzieć z Andzią i Jankiem w baraku, by dzieci nie miały kontaktu z innymi, na posesji wybucha bowiem epidemia tyfusu.

Franciszek Gębski, najstarszy brat Zofii, pracuje w tym czasie w tzw. smolni, gdzie zbierano i przetwarzano żywicę. Mężczyzna przed wojną prowadził dostatnie, bogate życie. Rodzina, którą kochał nade wszystko, była całym jego światem. Pech chciał, że teraz na posesji w Krutoj Osypi u jego dzieci rozpoznano tyfus i umieszczono je w prowizorycznym szpitalu. Franciszek, dobry i kochający ojciec, chce je jak najszybciej zobaczyć. Inni robotnicy ze smolarni przestrzegają go przed kontaktem z chorymi na tyfus, próbują tłumaczyć, że młode organizmy szybciej zwalczą chorobę. Gdy on się zarazi, może dojść do tragedii. Franciszek nie bierze tych ostrzeżeń pod uwagę. Odwiedza dzieci w szpitalu. Niestety tyfus jest chorobą bardzo zaraźliwą i Franciszek się przed nią nie ustrzeże. Tak, jak przestrzegano, dzieci po jakimś czasie poczuły się lepiej, natomiast ojciec jest na skraju życia i śmierci. Nieszczęsny zdaje sobie sprawę, że nie ma dla niego ratunku. Widząc, że zbliża się koniec życia, prosi tylko o jedno: aby zaopiekowano się jego żoną i dziećmi, gdy jego już nie będzie... Gdy Rozalia Gębska dowiedziała się o śmierci ukochanego męża, ogarnęła ją rozpacz tak wielka, że trudno to opisać. Franciszek był jej wielką miłością, między małżonkami zawsze panowała zgoda, szacunek. Franciszek był bardzo zdolny, rodzinny, kochający. Żona mogła polegać na swym mężu w każdej sytuacji. A teraz została sama z dziećmi. Gdy Ania Gębska, córka Rozalii i Franciszka, budziła się w nocy, słyszała straszny, nieustający szloch mamy. Rozalia nie mogła pogodzić się z tragedią, która dotknęła jej rodzinę. W tę samą noc w Krutoj Osypi wydarzyło się coś dziwnego. Wieść o śmierci Franciszka jeszcze nie zdążyła się roznieść. Józef Chołuj, szwagier Franciszka, usłyszał coś jakby pukanie do drzwi. Popatrzył w okienko i zobaczył Franka stojącego przed ich barakiem, w zawierusze śniegu. Józef zdziwił się, że szwagier przyszedł do nich w nocy. Otworzył drzwi baraku i ze zdumieniem stwierdził, że nikogo nie ma... Rano dotarła wiadomość, że Franek nie żyje... Ania Gębska na

całe życie zapamięta jeszcze to, że ojciec, który ostatni garnitur wymienił za jedzenie dla swojej rodziny, pochowany został w takim ubraniu, jakie miał na sobie. Córka ciągle widzi ojca, jak ten leży w zielonej amerykańskiej koszuli, w czarnych spodniach, na nogach ma tylko skarpetki. Po śmierci Franciszka, Rozalia musiała radzić sobie sama. By wykarmić dzieci chodziła kilkanaście kilometrów po prośbie, przędła, za jedzenie oddawała swoje ubrania. Bardzo pomagał jej najstarszy syn, Heniek, który między innymi przygotowywał ludziom drewno na opał, plółł łapcie z łyka. Córka Ania, zostająca wówczas w baraku z bratem Jankiem pamięta, że całymi godzinami siedziała przy oknie i wypatrywała powrotu mamy. Wielka radość panowała, gdy mama wyjmowała z zawiniątka skarby: ugotowane i surowe kartofle, kawałek chleba, trochę ciasta. Gdy mamy nie było, Ania w ogóle nie opuszczała baraku.

Okrutny demon śmierci nawiedził również rodzinę Mani Grylak. Zachorowała Andzia. Przeziębła się, po pewnym czasie niby poczuła się lepiej, ale nie wstawała z łóżka. Zrobiła się osowiała, cały czas leżała i tylko wodziła oczami za najbliższymi. Przeszła się uśmiechać, nie szczebiotała z siostrą Manią jak dawniej. Jakby uszły z niej wszystkie siły. Zofia i Stanisław nie wiedzieli, co robić, odchodzili od zmysłów, by ratować dziecko, ale mimo ich starań dziewczynka umarła. Śmierć Andzi wywołała ogromne zmiany i spustoszenie w psychice jej ojca, Stanisława. Już wcześniej był obłożnie chory, ale po niespodziewanej śmierci córki choroba poważnie pogłębiła się. Jakby z dnia na dzień również z niego uchodziło życie. Zofia była przerażona, ale niestety było już za późno. Stanisław nigdy nie pogodził się ze śmiercią córeczki. Zaatakowała go dziwna choroba, jakby udar, czy paraliż. Nie mógł opanować drżenia ciała. Nie minął rok od śmierci Andzi, a jej ojciec również gasł. Pod koniec nie wstawał z łóżka, nie rozmawiał, przestał otwierać oczy. Oddech jego stawał się coraz płytszy. Śmierć na posiołku zebrała już ogromne żniwo i ludzie pewnego dnia zorientowali się, że Stanisław umiera. W izbie Grylaków zapalono świece, kobiety odmawiały różaniec. Zofia, pogrążona w rozpacz, trwała przy mężu. Ktoś przyprowadził Manię, aby jeszcze zobaczyła tatę. Mania cichutko stanęła przy łóżku. Nagle, wiedziony ojcowskim instynktem, Stanisław otworzył oczy i spojrzał na Manię. Widać było, że nawet patrzenie sprawia mu ból. Patrzył, nic nie mówił. Po chwili z jego oczu wypłynęły dwie łzy tak wielkie jak grochy... Patrząc ciągle na córkę, zamknął oczy. Tego samego dnia umarł. Było to 14 lutego 1944 roku. Miał 34 lata...

Wszyscy zmarli spoczęli na cmentarzu położonym na polanie, ich mogiły to usypane kopczyki między pniami starych świerków.

Nie wiadomo, czy ktokolwiek przeżyłby zesłanie, gdyby nie decyzja wywozu Polaków z obwodu wołgodzkiego na Ukrainę. W sierpniu 1944 roku Zofia Grylak z córką Manią i synkiem Jankiem oraz Rozalia Gębska z dziećmi: Heńkiem, Jankiem i Anną popłynęli najpierw statkiem do Wołody, gdzie zostali załadowani do wagonów towarowych i ruszyli w 4-tygodniową podróż, już bez nadzoru NKWD. W taki sposób dowieziono ich do kołchozu Engels w pobliżu Domaniowki, kilkadziesiąt kilometrów od Odessy. Natomiast Katarzyna Chołuj z Rysiem, Mietkiem i Danusią dotarli do sowchozu Rasztad. Do sowchozu Hutor Kapkaz w powiecie Mostowskaja trafili: Marianna Filipow z Krysią i Heniem, Helena Zielińska ze Stasią oraz Janina Gębska z Danusią. Na statku spotkali się z Jadwigą Gębską i małym Kazikiem, dalej jechali już razem. Najpierw rzeką Suchoną dopłynęli do Wołody, gdzie następnie przesiedli się na pociąg do Odessy. Mimo, iż Polacy na Ukrainie poddani byli wielu ograniczeniom, pobyt tam nie miał już znamion obozu – przede wszystkim było co jeść. W porównaniu z Sybirem, to był raj. Rosły winogrona, kukurydza, ziemniaki, zboża, różne warzywa i drzewa owocowe. Było tam też upragnione ciepło. Rosły znane jeszcze z Polski jabłka, których zesłańcy na Sybirze nie widzieli przez ponad cztery lata. Na początku 1946 roku ogłoszono powrót do kraju. Polaków odwożono znowu do Odessy. Tam przez tydzień wydawano wszystkim paszporty. Człowiek, który to czynił, przestrzegał: „Strzeżcie paszportu jak źrenicy w oku. Jeśli stracie ten dokument, to już nigdy nie wrócicie do Polski”. Z Odessy wyjechali 13 lutego pociągiem na zachód, do Polski. 25 lutego 1946 roku dotarli na tzw. Ziemię Odzyskane do miejscowości Góra Śląska w województwie wrocławskim.

Wszystkie kobiety, których mężowie poszli z Sybiru na wojnę, doczekały się ich powrotu z frontu. Jan Filipow i Józef Zieliński wraz z Armią Andersa w ramach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie przeszli Iran, Irak, Palestynę i Egipt. Józef Gębski, Józef Chołuj i Wacław Gębski walczyli na całym szlaku bojowym od Lenino do Berlina. Nieszczęsny Jan Grylak, ten, który stracił w Krutoj Osypi żonę i dwie córeczki, poległ 12 września 1944 roku podczas przeprawy przez Wisłę w walce o wyzwolenie prawobrzeżnej Warszawy. Jego towarzysz broni opowiedział, że płynęli na pontonach w nocy pod ostrzałem z Pragi do Śródmieścia Warszawy, grad kul bił ze strony niemieckiej i osłaniającej rosyjskiej. Nagle Jan dostał serię i wpadł pod wodę... Nie wypłynął... Jest pochowany na Cmentarzu Wojennym w warszawskim Aninie.

Na mogiłach w Krutoj Osypi, gdzie pochowani są: Marianna, Andrzej i Franciszek Gębscy oraz Stanisław i Andzia Grylak, Marysia Zielińska, Heniu Gębski, a także Mania, Zosia i Helena Grylak, rosną fioletowe dzwonki, takie same, jakie rosną na polskich ziemiach. Pamiętajmy o tym, ilekroć zobaczymy te kwiatki w czasie swoich życiowych wędrówek, wycieczek i podróży.

Dzięki naszej pamięci zmarli przodkowie ciągle w nas żyją. Chciałoby się powiedzieć za Horacym: NON OMNIS MORIAR. A my, żyjący w czasach pokoju, cieszymy się każdym dniem naszego życia...

Jan Maślak dziś

Razem z moją ukochaną żoną Manią, doznaliśmy szczęścia być małżonkami, rodzicami, dziadkami i pradziadkami. To, co dane mi było przeżyć, przyjmuję już ze spokojem. Widocznie tak musiało być. Taki los był mi pisany. Paradoksalnie wszystkiego, co przydało mi się w życiu zawodowym, nauczyłem się w Rosji na zesłaniu. A byłem mistrzem ciesielskim i dekarzem, ludzie z daleka przyjeżdżali do mnie ze zleceniami, bo słyszeli o moich zdolnościach. Całe życie również kocham i hoduję konie. Razem z Manią mieliśmy też w sobie coś takiego, że nigdy nie przeszliśmy obojętnie obok głodnego i pokrzywdzonego stworzenia. Na naszym podwórku znajdowały schronienie wszystkie porzucone koty i psy. Nie potrafilibyśmy zasnąć ze świadomością, że nie pomogliśmy potrzebującemu.

Wspomnienia moje zatytułowałem „Ponad Sybir – Życie”. Chciałbym w tych słowach zawrzeć myśl, że przeżycia z Sybiru rzutowały na nasze późniejsze koleje losu, ale zawsze ponad dramatem Sybiru wyżej stoi afirmacja życia. Każdego z osobna, kto zechce łaskawie przeczytać moje wspomnienia, proszę tylko o jedno: pomódl się za Sybiraków, zesłańców polskich, tych żywych i tych umarłych..